

Przeżyłem
i
zapamiętałem

Wspomnienia z lat 1910 - 1920

WŁADYSŁAW
MRUK

TURZA 1998



Przeżyłem i zapamiętałem

Zrodziłem się dnia 15 stycznia 1907 roku w Mahanoy City w USA, stan Pensylwania, z Józefa Mruka, emigranta z Moszczenicy syna Filipa i Anny z Brachów i matki Katarzyny z Kuzneckich, emigrantki ze Żmigrodu córki, Antoniego i Anny z Kraconiów. Rodzeństwo ojca: Wojciech emigrant w USA zmarł w 1921 roku, Jakub zmarł podczas I wojny światowej i Katarzyna Przepiórowa, żona Ludwika zmarła w 1935 roku. Rodzeństwo matki: Adam emigrant w USA, Maria zamężna Dobek - emigrantka w USA, Weronika emigrantka w USA, Jan zamieszkały w miejscu rodzinnym i zabity w 1934 roku, Jakub zamieszkał w Cieklinie - zmarł i Elżbieta zamieszkała w Żmigrodzie, zmarła.

Rok 1910. Ja liczę 3 lata.

Z dzieciństwa zapamiętałem takie wydarzenia jak uderzenie pioruna w komin naszego mieszkania podczas burzy w nocy, a gruz z rozwalonego pieca do ogrzewania zasypał łóżeczko na którym spałem. Z nocy tej obudziłem się u mojego chrzestnego Kraconia, krewnego matki, który mieszkał opodal, miał on córkę Julkę i Jasia prawie moi rówieśnicy. Gdy mnie w następnym dniu przyprowadzono do domu zastałem straszny rumor i bałagan ponieważ murarze już murowali piec i komin.

Pamiętam też, że w jedną niedzielę bawiąc się na podwórzu, odnalazłem koło stajenki łomy ojca potrzebne do kopalni węgla. Jednym łomem ostrym mniejszym, który potrafiłem unieść, podnosząc i puszczając robiłem dziury (dołki) w mokrej ubitej ziemi aż raz puściłem ostry szpiczasty łom w prawą nogę poza palcami. Łom wtedy przebił mi stopę na wylot. Długo potem leżałem a gdy noga zaczęła się goić matka zrobiła na podwórku hamak i układała mnie w nim. Zwoływała też z sąsiedztwa inne dzieci by się ze mną bawiły. Ale pewnego razu mama musiała wyjść z domu za sprawunkami ja wówczas spałem. Jan młodszy braciszek również. Mama wychodząc z domu zamknęła furtkę w parkanie, żeby w razie gdy się zbudzę nie wyszedł na ulicę. Ja zbudziwszy się nie widząc nikogo w domu zacząłem płakać, obudziłem również brata w kolebce i obaj płakaliśmy, poczem ja wyszedłem na podwórze i chciałem wyjść na ulicę lecz się nie udało, bo było zamknięte na klucz. Zabawiłem się na podwórzu. Wtem zachciało mi się do nocniczka lecz że mnie nie miał kto obsłużyć puściłem w porcięta i znowu w płacz. Nadeszła mama, ja płakałem bo

bałem się lania, ona zaś nic nie mówiąc rozebrała mnie powycierała i pobiegła do brata do kołyski po chwili dopiero mnie obmyła i przebrała i nawet mnie nie skrzyczała.

Zapamiętałem też obchód święta państwowego 4 lipca (for Dziulaj). Pochód przeszedł ulicą z orkiestrą, cykliści z przybranymi rowerami, samochody z chorągiewkami. Widziałem maszerujących sportowców z piłką dużą jak nożna tylko że ją nie kopano lecz podbijano pałką. Po raz pierwszy zapamiętałem zimę i śnieg. Uśmiełem się wiele widząc przez okno robotników zdążających do kopalni czy fabryki (brechy), którzy brnęli w śniegu po kolana wysoko podnosząc nogi.

Pewnego razu, mama zabrała mnie ze sobą gdy niosła obiad dla ojca do kopalni - pamiętam żeśmy szli laskiem. W kopalni rozglądałem się po pochylni a gdy ojciec spożył obiad zaprowadził mnie z mamą do mułów kopalnianych i pokazał mi je. Niekiedy mama wychodząc za sprawunkami do miasta zostawiała mnie u stryja Wojtka lub u wuja Adama. Mielśmy też i własną krowę, której nikt nie paś a tylko zawieszało się jej dzwonek na szyi przeprowadzało za tor kolejowy i puszczało w las, zaś na wieczór sama powracała do poidła i obórki, z tym że znowu trzeba było po nią wyjść poza tor kolejowy, który biegł tuż koło naszej obórki. Podobno raz pociąg nawet spalił nam obórkę.

Rok 1911. Ja liczę 4 lata.

Zapamiętałem, że mama uczy mnie pacierza: przeżegnać się, zmówić Ojcze Nasz, Zdrowaś, Wierzę w Boga, Aniele Boży, Anioł Pański i 10 przykazań. Pozatym gdy mama przygotowywała jedzenie na stole to ja będąc tej wysokości co stół ząbkami ujmowałem blat stołu ale co było na talerzu nie mogłem zobaczyć. Razu pewnego bawiąc się w sypialni na piętrze doszedłem do schodów zatoczyłem się po schodach na dół do kuchni gdzie mama podbiegła od kuchni i podniosła mnie płaczącego.

Z ostatniego dnia życia mamy pamiętam kiedy ojciec wcześniej wychodził do pracy a mama przy kuchni przygotowywała mu jedzenie, kłócąc się mama prosiła ojca by nie szedł w tym dniu do pracy bo czuje się źle lecz ojciec coś hardo rzekł i poszedł. Po tym w ciągu dnia tyle wiem, że obce kobiety przychodziły do mamy do pokoju a nas z bratem zostawiono w kuchni z zabawkami. W późniejszym czasie pokazał się i ojciec i znów wyszedł i wrócił z jakimś panem. Wreszcie po południu ojciec zaprowadził nas na krótko do mamy. Leżała w łóżku bardzo blada że nie mogłem jej poznać. Nic jednak do nas nie

powiedziała a tylko otworzyła oczy i patrzyła na nas. Późem kazano nam wyjść bo mamę głowa boli a miała kompres na głowie. A ostatni raz widziałem ją już w trumnie. (Była bowiem bez opieki przy porodzie, przy jakiś tam kobietach dostała krwotok którego nie zauważono i krew jej uszła, że nawet wezwany lekarz już nic nie poradził i tak spokojnie zasnęła na zawsze z braciszkiem, którego po urodzeniu nie udało się ocudzić. Było to przed połową marca: w późniejszych latach mi to objaśniono).

Jako rekompensatę za mamę dostałem torbę ciastek i cukierków. Jeszcze dziś widzę ten pierwszy wieczór: dom pełen ludzi odwiedzających zmarłą. W pogrzebie mamy brałem udział, to znaczy: nie szedłem z konduktem lecz z paru innymi jakimś furgonem podjechałem pod kościół w którym już odprawiało się żałobne nabożeństwo. Następnie zapamiętałem ten moment gdy stałem nad mogiłą mamy i ktoś wtedy mi pokazał trumnę w mogile i powiedział „tu będzie leżała twoja mama”.

Po śmierci mamy przybyła do naszego domu młodsza siostra mamy panna Weronika. A myśmy ją wcześniej znali jako „ciocia z Parajku” bowiem ona często do nas przyjeżdżała i przywoziła nam lody i cukierki. Ojciec nadal pracował w kopalni. Podczas nieobecności ojca w domu ciocia, jak to zwyczajnie u młodych płochości nie brakuje, zaniedbywała dom i nas a szukała młodego towarzystwa, względnie do domu sprowadzała. Pamiętam taką scenę, że razem z koleżankami wyprawiały harce i figle, które nas z bratem nastraszyły, zaczęliśmy rozpaczliwie płakać, wówczas jedna z towarzyszek zirytowana naszym płaczem przygotowała gałganek, namoczyła w wodzie potem w popiele i wsadziła nam w otwarte buzie. Gdy doniesiono potem ojcu o tym co się dzieje w domu podczas jego nieobecności, zaczął zastanawiać się i radzić znajomych co począć. Radzono mu by wyjechał do kraju i ożenił się. Ostatecznie powziął decyzję powrotu do kraju bo i zdrowie zaczęło mu utyskiwać. Jak postanowił tak uczynił. (Chociaż oszczędności nie miał. Wszedł bowiem w porozumienie z urzędnikiem jakiejś instytucji ubezpieczeniowej niejakim Tarsa (emigrant z Moszczenicy), który to nieprawnie wypłacił ojcu sumę ubezpieczeniową mojej mamy, która to suma była zapisana na mnie. Za tą sumę opłacił podróż z Ameryki do kraju, ożenił się i kupił cztery morgi ziemi z parcelacji dworskiej w Turzy. O tym opowiedziała mi druga matka po śmierci ojca, który przed samą śmiercią jej to wyznał i żałował, że mnie tak skrzywdził. Oraz to że rodzeństwo matki chciało koniecznie by mnie zostawił w Ameryce. Wobec jednak powyższego ojciec nie zgodził się).

W między czasie pamiętam gdy z ciocią po raz ostatni udaliśmy się na grób mamy, gdzie kazała mi zmówić paciorek za duszę mamy. Była to wczesna wiosna, już śniegu nie

było i kwiatków nie było jeszcze. Była pogoda lecz jeszcze było chłodno. Wtedy z cmentarza przyniosłem gałązki sosny, które pierwszy raz widziałem. Następnie pamiętam już tylko pakowanie waliz i kufra i wyjazd.

Po drodze ojciec z nami wstąpił do proboszcza parafii, tam z jego rąk otrzymaliśmy na drogę medaliki. Ojciec zaś pobrał nasze metryki i metrykę zgonu matki. W dalszym ciągu pamiętam moment wieczorem wchodzenia na okręt przez rzucony pomost. Z podróży po oceanie i morzach utkwilo mi w pamięci odbicie okrętu od brzegu, wówczas orkiestra grała i te pożegnalne machanie chusteczkami oraz krzyki mew które nas odprowadzały w dal morza.

Pamiętam momenty wymijania się okrętów z naszym na oceanie. Przeżyliśmy też i sztorm na oceanie. Wówczas pokłady były pozamykane a pasażerowie stłoczeni na korytarzach i w kajutach. Takie wielkie kołysanie się okrętu, że przejście się w zamierzonym kierunku stawało się nie możliwe. Obserwowaliśmy wówczas okrągłe okienko, rzadko kiedy błyskało światłem bo ciągle zalewała go woda, względnie pod wpływem przechylenia się zanurzone było w morzu. Wtedy wielu pasażerów chorowało na morską chorobę. Nasz ojciec również chorował, że nie mógł głowy podnieść taki miał ból głowy. Ja miałem wtedy takie zdarzenia, że zachciało mi się do nocniczka a ojciec nie mógł mnie zaprowadzić, ja płakałem i wtedy poradziła mi jakaś osoba bym zrobił siusiu do wiadra na śmieci, które zostało zostawione przez służbę okrętową. I stało się tak, że gdy się załatwiał „matros” zastał mnie na gorący uczynek, bardzo wtedy krzyczał w obcym języku ja zaś przestraszony uciekłem spinając się na swoje łóżko na piętrze pod pułapem. Później płynęliśmy podczas mgły, charakterystyczne to było bo syrena okrętowa prawie jednostajnie jęczała. Bywało żeśmy słyszeli we mgle też syreny innych okrętów płynących czy mijających obok. Bywały i piękne słoneczne dni wówczas ojciec rozkładał koc na pokładzie i cieszyliśmy się słońcem razem z wielu innymi pasażerami. Wtedy i orkiestra grała, tańczono i bawiono się.

Pod koniec podróży często ojciec wyprowadzał nas na pokład (wyprowadzał w ten sposób że brata niósł na rękę a drugą ręką mnie prowadził za rączkę) i pokazywał nam brzegi mijanych wysepek i lądów. Ostatecznie po kilkunastodniowej podróży zapanował ruch na okręcie. Orkiestra też wyszła na pokład i z muzyką przybijaliśmy do brzegu, było to w jednym z niemieckich portów coś jak „Brem” czy „Bremen”, nie pamiętam.

W ostatniej chwili gdyśmy opuszczali okręt był wielki tłok przy wyjściu. Ojciec miał wypakowany plecak, na jednej ręce miał brata w drugiej miał walizkę, mnie kazał się jego

trzymać. W tłoku tym ja pomyliłem się i zgubiłem ojca. Gdy zorientowałem się że trzymam się nie ojca lecz innego mężczyzny, zrobiłem krzyk bo ojca obok nigdzie nie było i zawróciłem z powrotem na okręt. To samo ojciec gdy się spostrzegł, że mnie przy nim nie ma zawrócił lecz wejście było zabronione, zgłosił więc do oficera okrętu, że mu dziecko przy wyjściu zginęło, wówczas dano mu dwóch marynarzy do poszukiwania, przedtem wysłuchał jednak nie mało przekleństw. Ostatecznie znaleźliśmy się i wyszli na ląd. Pierwsze co rzuciło mi się w oczy na lądzie to piękne kwietniki i rabaty. Drugą niecodziennością był siwy koń zaprzężony do wozu na szynach (konny tramwaj).

Z podróży koleją nie wiele pamiętam, jeden bodaj szczegół, że zostaliśmy sami w wagonie i płakaliśmy poczem zjawił się ojciec i z pośpiechem zabrał nas z wagonu.

Jak mi później ojciec opowiadał było to już w Krakowie, ojciec wyskoczył by wykupić bilety na dalszą drogę, myśmy z bratem spali więc zostawił nas na opiece jakiejś pasażerki, która w międzyczasie znikła. Potem myśmy się zbudzili a ojca nigdzie nie ma więc w płacz, w ostatniej jednak chwili zdążył ojciec by nas zabrać bo już pociąg ruszał w kierunku Oświęcimia i Niemiec. Wtedy pamiętam zostawiłem w pociągu dużą ustną harmonijkę i ojciec jakąś małą część bagażu.

U kresu zaś podróży utkwiał mi w pamięci moment gdyśmy furmanką dojeżdżali do rodzinnego miejsca ojca, było to w Moszczenicy od samej Staszkówki. Ojciec zatrzymał furmankę przy mostku na potoku płynącego z pod „Czarnego Lasu”. Tamże ojciec zsiadł (bowiem pod dom stryja nie było drogi kołowej) nas zsadził z wozu oraz zdjął cały bagaż, furmankę odprawił i gdy odjechała myśmy ścieżką koło potoku zdążali w „górkę” do domu stryja Jakuba. Było to w czerwcu koło Św. Piotra i Pawła. U stryja byliśmy około trzech tygodni ponieważ zaraz po odpuście na „Szkaplerzną” ojciec wywiózł nas do dziadzia, to jest ojca naszej mamy do Myłarki koło Żmigrodu powiat Jasło.

Z pobytu u stryja i stryjenki zapamiętałem dużo ptactwa w zaroślach przy potoku i w lesie dworskim „Czarny Las”, do którego było kilkanaście kroków. Wtedy też zapamiętałem woń żywiczną z drzew szpilkowych przygrzanych lipcowym słońcem. Wielce też pociesznym dla mnie był widok kosiarzy, którzy zamaszystymi, kołyszącymi ruchami kosili koniczynę u Peli, sąsiadki stryja. Pewnego razu bawiliśmy się z bratem nad stromą górką niczym szkarpa, po której prowadziła wąska ścieżka do źródelka wybijającego w pół górkę, z którego czerpano wodę. Prowadząc brata tą ścieżką, zauważył dołek z wodą i począł ciągnąć się do tego dołka. Ile ja miałem strachu żeby tam nie wpadł a nie mogłem mu dać rady bo się ociągał i krzyczał. Jaki tam był koniec nie wiem w każdym bądź razie nie

powpadaliśmy. Zapamiętałem też taki inny szczegół. Stryjenka miała przy piersi małą córeczkę Zosię, a było to tak: stryjenka kazała mi Zosię w kołysce kolebać a sama wzięła garnuszek i do niego zaczęła ściągać z piersi jednej i drugiej pokarm. Dziwnym mi się to wydawało. Albo, było to na odpust w Szkaplerzną, po przyjeździe z kościoła z odpustu bardzo była w domu ożywiona rozmowa między ojcem a stryjem, lecz nic z tego nie rozumiałem, później mi wyjaśniono że w tym dniu była pierwsza zapowiedź przedślubna mego ojca z przyszłą matką. Zaś po obiedzie ojciec i stryjek zabrali nas ubranych odświętnie i przyprowadzono do narzeczonej ojca Ludwiki z Zygałów w Turzy. Z tych odwiedzin tyle tylko pamiętam, że umieszczono nas w ogrodzie na kocu i obłożono nas jabłkami, jedzeniem natomiast w mieszkaniu był gwar co niemiara ponieważ poschodziły się rodziny i popijano zdrowo. Do nas zaś przyłączyła się służąca pasterka narzeczonej ojca Kaśka Bryt. Ona bardzo się do nas uśmiechała i coś dużo mówiła lecz myśmy ją nie rozumieli gdyż miała wymowę nie wyraźną.

Po tych odwiedzinach ojciec odwiózł nas do dziadzia A. Kuzneckiego gdzie byliśmy znowu parę tygodni. Z tego okresu zapamiętałem że dziadziu był o jednej ręce bo drugą miał urwaną przy jakiejś maszynie. Babcia była kobietą niską a grubą, w wymowie trochę sepleniała i była zła bardzo. Prócz nich była tam ciocia Elżbieta, starsza ode mnie może o trzy lata oraz wujek Jasiek dojrzwały - kawaler parobczak i wujek Kuba to rodzeństwo mojej mamy.

Również z pierwszego dnia przyjazdu do dziadzia pamiętam że najpierw wszyscy płakali potem umieszczono nas na ogrodzie na kocu a dorośli usiedli w mieszkaniu a po pewnym czasie zrobiło się gwarno. Na drugi dzień ojciec odjechał nas zostawiając. Ja będąc tam najwięcej zabawiałem się z Elżbietą a zainteresowaniem moim była rzeka Jasiołka, która płynęła tuż koło podwórza. Często wujek Jasiek sadzał mnie na konia i przejeżdżał ze mną czy to na pastwisko lub do wody. Pewnego razu wujek wziął mnie do kąpieli nad rzekę. Ja okropnie bałem zanurzyć się w wodzie zostawił mnie zatem przy brzegu, przy dużym kamieniu a on wraz z innymi wszedł w rzekę do kąpieli. A było i tak że przychodzili inni chłopcy którzy odciągali mnie za nogi w wodę wtedy okropnie krzyczałem i płakałem a oni się śmiali. Widziałem też pierwszy raz jak dziadek oraz inni mężczyźni wzięli dwie sieci na drążkach i weszli w rzekę łowić rybki. Szli wtedy szeregiem na całą szerokość koryta rzeki z sieciami zanurzonymi w wodzie. Po skończonym łowieniu dziadek przyniósł złowione rybki w torbie i sieci, które zsywał do szaflika z wodą, natomiast te które ugrzęzły w sieci i były uszkodzone wyrzucił nam kilka do zabawy. Plon połowu wujek Jasiek z Kubą

odnieśli do wójta czy innego przełożonego. W czasie odpustu parafialnego w Żmigrodzie wujek Jasiek zabrał nas do kościoła, w tym było najważniejsze to że nam kupił cukierków i „gwizdki lizaki”. Było tam wiele ludzi, w tym wielu Żydów nawet z kramami.

Po południu w tym dniu wujek Kuba zabrał mnie idąc z krowami na pastwisko daleko w pole od domu, upał był jeszcze duży i po pewnej chwili zasnąłem otulony w jakąś kapotę. Po jakimś czasie przyszedli jacyś chłopcy, koleżki wujka, hałasując obudzili mnie wszak wyprawiali różne figle między sobą i wujkiem wtedy ja stawałem w obronie wujka, to im się spodobало - dalejże Kubę szarpać i podrywać wtedy ja ich odpędzałem krzykiem aż któryś z koleżków dał mi do rąk bat, wtedy dopiero ich goniłem, coś jednak z tego że gdy goniłem jednego to inni doskakiwali do wujka szarpiąc go. Niektórych udało mi się smagnąć batem. Dopiero gdy nadszedł starszy wujek Jasiek zabrał mnie na konia i wróciliśmy do domu. Jednego razu babcia była bardzo zła, już późno wieczór gdy wróciła z pola nie dała nam jeść tylko zabrała się do kąpania nas w szafliku a szorowała nas tak złośliwie bo pamiętam żeśmy bardzo płakali nawet nie szczędziła nam klapsów. Po latach dowiedziałem się, że było to w przeddzień wesela ojca. Spodziewała się bowiem, że ojciec przyjedzie zabrać nas i dziadków na wesele, tymczasem ojciec nie przyjechał. Tak przynajmniej mieli między sobą umówione.

Potem po kilku dniach przyjechał ojciec pod wieczór krótko tylko z pośpiechem z nami zabawił, poczem udał się gdzieś z dziadkiem a wróciwszy przypędzili stadko młodych gęsi. Na drugi dzień wcześniej z rana znowu kąpiel i ubrawszy nas zabrał nas ojciec oraz gęsi. Odwoził nas wujek Jasiek furmanką do Jasła. W Jasle przeładowano nas i gęsi na inną furmankę, która na nas czekała. Przy tej furmance były dwie kobiety. Na jedną z nich kazano nam mówić mama, druga była bratową naszej matki żoną Jędrzeja Zygałdy. Pamiętam dokładnie jak na granicy Moszczenia - Turza koło Zygałdów furmanka zatrzymała się i zszedł nas z wozu również gęsi, które zabrała Zygałdowa a myśmy nie chcieli rozłączać się z nimi i płakaliśmy. Wyszli do nas na granicę Antki Zygałdy i Żydówki z karczmy, która obok stała. A ponieważ byliśmy umęczeni podróżą rozstaliśmy się z obcymi i granicą udaliśmy się z ojcem i matką do domu matki na „zygałdówkę”, niby do własnego domu. Była to mała chatynka dymna pod słomianą strzechą tuż koło samej granicy i pod samą jakby wysoką szkarpą, brzegiem od „kamykówki”.

W tym domu zamieszkaliśmy od sierpnia 1911 roku do czerwca włącznie 1912 roku. W tej części roku to jest od sierpnia 1911 pozostał mi w pamięci to że mieliśmy garnuszki blaszane, ja miałem większy niebieski a brat Jasiek zielonkawy, z których piliśmy i jedliśmy

mleko czy kawę. Przeważnie tośmy drobili, kruszyli chleb do kawy i jedliśmy łyżkami. Przypominam sobie, że było dużo śliwek, jabłek a zwłaszcza gruszek oraz to że mieliśmy w sąsiedztwie małego chłopczyka w wieku brata około dwóch lat, na imię mu było Władek (Kamyk). Często z nim ku nom przychodziła służąca, nazywali ją głupia „kuciona”. Nie lubiliśmy go ponieważ - ja go nie lubiłem bo był prawie nagi gdyż tylko koszulę nosił na sobie. U matki naszej też była służąca głupowata, która albo się głupio śmiała albo się kłóciła z matką oraz mówiła niewyraźnie. Nazywała się Katarzyna Bryt, mówili na nią Kaśka Brycianka.

Rok 1912.

❧imną za oknami śnieg, zadymka a na oknach lód że mało światła było widać choćby i z tego powodu, że były to małe okna przypuszczalnie o wymiarach 70 x 60 cm. W tym 6 szybek. Z tej zimy zapamiętałem, że była gdzieś jakaś uroczystość rodzinna a właściwie chrzciny, wiem że było duże zainteresowanie ojca i matki. Po powrocie z chrzcin mieli dużo do opowiadania i śmiechu, ktoś się wtedy przewrócił, ktoś znów ze schodów spadł. Jak się w późniejszych latach domyśliłem były to chrzciny u Antoniego Zygałdy, brata mojej matki urodzonej córki Anieli, mojej późniejszej żony. W późniejszym czasie, gdzieś wiosną, były znów ożywione rozmowy między ojcem i matką oraz często wychodzili razem coś załatwiali i ostatecznie wyszło to, że kupowali na dworskim gruncie i będą budowali nowy dom. Z nadejściem wiosny i ciepła śnieg topniał szybko a brudna woda z góry granicą koło domu z hukiem toczyła się w dół do strumyka, a jak były zalane łąki moszczeńskie wodą z roztopów. Później gdy już śniegu nie było a była pogoda i ciepło wypuszczono nas na dwór. Wtedy tak wszędzie koguty piały a koło ściany do słońca było naprawdę ciepło. Wiem, że skądś wydobyłem gliniany wyszczerbany dzbanek w który zaczerpywałem wody z gnojówek dodawałem gliny spod komory i robiłem placki względnie lałem po kamieniach „pęczkowych”. Pod komorą przy tym brudziłem się niesamowicie a gdy matka dostrzegła skrzyczała nas a najgorsze było dla mnie to że wydarła mi ten dzbanek gliniany i stłukła go na kamieniu na drobne kawałki. Tego nie mogłem jej długo darować i płakałem rozpaczliwie.

Później gdy już nadeszła pełna wiosna, zakwitły kwiaty na ogrodzie na granicy i na łące. Zabroniono mi jednak schodzić na łąki ponieważ Anusia, najstarsza córka Antka

Zygadła, która zbierała kwiatki po mokrej łące, przemoczyła nogi w zimnej wodzie, krótko chorując zmarła, więc nam już nie pozwolono wychodzić na łąkę.

Pewnej niedzieli zabrała mnie matka do kościoła, z tego zapamiętałem to że dach gontowy na starym kościółku sięgał niemal do ziemi. Drugi raz, a mogło to być w maju, też zabrała mnie Kaśka służąca do kościoła na ostatnie nabożeństwo w kościółku, spóźniliśmy się. Widziałem jedynie jak mężczyźni przenieśli tabernakulum z kościółka do tymczasowej szopy przybudowanej do starej szkoły. Do rozbiórki starego kościółka i mój ojciec szedł do pracy. Opowiadał później o różnych wyprawianych przy tym figlach, jeden taki był w tym, że znaleziono na wieżycze kościółka dużą ropuchę, którą wsadzono do kieszeni marynarki „Dziana” Jana Mruka naszemu niemal sąsiadowi gdy ten później ją tam znalazł wpadł w złość, chciał siekierą rąbać śmiałka lecz nie wiedział kto to był.

W tym czasie ojciec mało w domu bywał a jeśli wpadał to tylko rozmawiał z matką o budowie nowego domu, a pewnego dnia zrozumiałem że już furmani wożą drzewo zakupione w „Czarnym Lesie” w Staszówce. Wspomnę również o takim moim zdarzeniu. Sadzono u nas ziemniaki, zbiegły się sąsiadki z pomocą. Niektóre przyszły z dziećmi, więc starsi byli zajęci sadzeniem a ja z dziećmi bawiłem się na łące, naraz zauważyłem, że trzaska powstała przy obcinaniu wierzb pływała po wodzie w rzece więc ja sięgnąwszy po nią z brzegu zsunąłem się na głowę w wodę do rzeczki. Nic mi się wiele nie stało bo na mój krzyk wyciągnięto mnie ale głowę miałem całą mułem oblepioną. Przybiegła matka trochę z grubsza obmyła mi głowę i zabrała do chaty. Po zasadzeniu ziemniaków ojciec rozpoczął budowę domu na kupionym we dworze gruncie (4 morgi). Już cieśle obrabiali drzewo na budowę, ojciec zaś wykopał dół w ziemi koło placu budowy na wodę, odtąd na potrzeby była już woda na miejscu. Następnie ojciec przystąpił do rozbiórki stodoły i komory na „zygadłowce”. Zaraz też furmani wozili to drzewo na plac budowy. Pamiętam te krzyki furmanów bo nie mogli wyjechać ku figurze „Florkowej”. Wozili nie tylko drzewo ale słomę kiczarki nowe i stare, wrota a nawet „kraków” przy którym było śmiechu i żartów. Jednego razu matka zabrała mnie ze sobą gdy niosła obiad cieślom w południe. Pierwszy raz wtedy byłem na nowym placu. Ściany budynku mieszkalnego już były do połowy wyciągnięte. Ściany dwóch izb zbudowano ze starej komory przy dodaniu nowego drzewa przyciesi i płotew, komora nowa była zbudowana z drzewa z „Czarnego Lasu”. Gdy już cieśle skończyli budowę domu wtedy stryj Jakub i wujek z potoka (sfok z potoka) szwagier mojego ojca Przepióra Ludwik poszywali „kicorkami” dach. Gdy już dom był pod dachem a było to w czerwcu, rozebrano znów stajenkę na „zygadłowce” i znów furmani wozili tą

stajenkę, chlewy oraz przeważnie wszystkie przedmioty gospodarcze i domowe. Zapamiętałem z furmanów tylko Steca Florka, Skrobotów Antka i Franka (kulawego z brzeziny) z Moszczenicy, z Turzy Stępnia - innych nie znałem.

Po tej zwózce już nie było co tam robić, przenieśliśmy się już ze wszystkim do nowego domu. Dom. Ale jakież to był dom, ani drzwi ani okien, a że nie był podwieziony, to wchodziło się i wychodziło z niego popod przycieś. Ale w komorze już była ułożona podłoga to też łóżka i w ogóle wszystko mieściło się w tej komorze. Do gotowania to matka na ziemi w nowej kuchni położyła parę cegieł, na to położyła ramę kuchenną i tak paliła i gotowała.

Następne prace przy nowej budowie to było mszenie skałb w ścianach, które wykonywali wujek i stryj. Wreszcie ojciec wszedł w porozumienie z parobkami i pachółkami „dworakami” ze dworu, którzy zgodzili się wieczorami podwieźć izby i sionkę, pamiętam ja szedłem spać do komory a oni przychodzili z taczkami i wozili ziemię. Przy tym zarabiali na wódkę i przepijali.

Gdy już dom był podwieziony wówczas ojciec zgodził znów murarzy, którzy byli zajęci przy budowie nowego kościoła, oni też poza godzinami wieczorami budowali piec i komin. Byli to: Marynowski z synami i Kalisz z Łużnej. Ponieważ jeszcze nie było stajni ani stodoły więc pośpiesznie pracowali by przed zniwami skończyć dalszą budowę i pokryć ją dachem. Majstrem całej budowy był Jan Szczerba z ojcem i braćmi („Chuptase”). Tenże Szczerba później wykonał okna i drzwi oraz je osadził. W późniejszym czasie słyszałem z opowiadania, że początkowo wybrano teren pod budowę bliżej drogi na przeciwko dworu i tam było już drzewo (budulec) zwiezione lecz nowi sąsiedzi Hudzik i Pierz podpowiedzieli ojcu żeby odsunął się od drogi do linii ich budynków, jako argumentem posłużyli się tym, że mając dom bliżej drogi to żaden dziad go nie ominie. No i ojciec posłuchał ich, odsunął się i budulec przyciągnął dalej od drogi o kilkanaście metrów.

Przy wyborze miejsca na studnię, to w miejscu gdzie jest obecna studnia, cieśle zapalili ognisko na węgiel do sznura, lecz co rozpalili ogień to zaraz im gaś, nie mogli utrzymać ognia a węgiel zawilżał się, orzekli więc że musi tu być źródło, poradzili więc ojcu by w tym miejscu wykopał dół na wodę i woda choć w płytkim dole pokazała się.

Wiem że następnie gdy już budynki były pod dachem przyszły deszcze i chłody, a że izby jeszcze były nie zabezpieczone, było mi zimno. Nie było się gdzie ogrzać, chyba że pod pierzyną w komorze ale i tam wiatr hulał koło głowy bo była nie umszyta mchem (komora).

Nadeszły żniwa trzeba było wozić żyto z dołu ze „stawisk” a między nie było, wtedy matka wyrznięła sierpem nie dojrzałą pszenicę przez środek pola odpowiedni pas, którą koźmi ze dworu zwieźli żyto do stodoły. Po żniwach nastąpiły już tylko prace wykończeniowe. Już żeśmy się wnieśli do izb mieszkalnych. Ściany choć nie były bielone za to okna były już większe i niczym nie zasłonięte więc mieszkanie było widne. Pod koniec jesieni dopiero ojciec z Galiszewskim Janem zaczęli kopać studnię. W czwartym metrze dołu dokopali się twardego kamienia a że woda silnie im urobek zalewała, mało tego z bocznych ścian zaczęła się ziemia obsypywać, stąd musieli pośpiesznie zakładać cembrowinę z obawy by ich nie zawało. Jeszcze przed zimą ojciec zbudował dwie szopy aby trzaski i odpady z budowy sprzątnąć przed zimą.

Rok 1913.

Ja mam już sześć lat a brat Jasiek 4 lata. Pierwsza zima w nowym mieszkaniu. Nie znałem się na tym ale mówiono, że jest ciepłe mieszkanie choć na początku zimy jeszcze drzwi do izby nie było, dopiero wśród zimy „Chuptas” ustawił i to dwuskrzydłowe. Dopóki jeszcze tych drzwi nie było to naszym ulubionym siedzeniem był próg izby. Kaśkę „Brycionkę” wydalono bo sobie za dużo pozwalała. W jej miejsce przyjęto z Moszczenicy jakąś Frankę ale ona też długo nie była. W toku zimy matka zaczęła uczyć mnie czytać i pisać drukowane. Uczyla nas też i małych wierszyków. W wolnych chwilach podczas długich wieczorów brat bawił się na podółku matki z tym że tulił się do piersi i wsadzał rączki pod stanik z czego matka śmiała się. Ojciec też go więcej lubił niż mnie. Bywało też że uśmiechając się pozwalali nam na małe harce i tańce, ja wtedy pokazywałem jak się tańczy po amerykańsku to znaczy brałem brata za ręce i tak przodem do siebie wtedy przybierając prawą nogą podskokami posuwaliśmy się do kąta wolnego i z powrotem w tej samej pozycji przybierając lewą a brat prawą nogą itd.

Ojciec nazywał nas „boisy” a rozgniewany „gamonie”. Uczyl nas też liczyć po amerykańsku jak: „łan, tu, try, for, faj, syk, sewen, ocht, nai, ten”, dalej że kot to „pusyk”, pies - „hund”, cios pięścią - „pąc”, odejść - „gołan”, chodź - „kaman”.

Tejże zimy brat zachorował na szkarlatynę wtedy więcej osób we wsi chorowało na tę chorobę wobec tego i do nas przyszedł „fizyk” lekarz urzędowy, który przepisał dla brata lekarstwa a na drzwiach wejściowych przylepił urzędowy zakaz wchodzenia obcym z powodu choroby zakaźnej. Brat niedługo chorował ale ojcowie mieli zmartwienie bo

serdeczny palec u ręki znieruchomiał zgięty i wyprostować się nie dawał. Ale jakoś przez częste poruszanie nim i rozcieranie stawał się co raz więcej władny aż wyszedł na dobre.

Z nadejściem wiosny były roboty w polu. Końmi robili u nas Stępień Jan kolega ojca (matka nazywała go w złości „magdziarzem”- nie lubiła go), robił też sprzęż z Kuklą Władysławem, których ja nazywałem „wielki Stępień” i „mały Stępień”. Stępień bowiem był starszy mężczyzna zaś Kukła kawaler. (Kukła w następnym roku zginął na wojnie).

Przy orce pługiem ja lubiłem trzymać się „czepigi” przy boku ojca. Brat, który nie nadążał za końmi zbierał za skibą glisty (dżdżownice), których pełne kieszenie przyniósł matce. Wtedy jeszcze nie było koło domu sadu. Ledwo kilka drzew było przesadzone z „zygadłówki”, toteż ojciec doorał pod zasiewy nieomal do samych ścian, że nawet krowy nie było gdzie uwiązać, a to się na nic zdało bo było kilka kur, które zniszczyły zasiewy dość szeroko. Od czasu do czasu do nowego naszego mieszkania przyjeżdżał brat matki Józef Zygałło, był to dla nas inny człowiek ze spotkanych dotąd. Był to mężczyzna przystojny, sympatyczny i inteligentny. Pracował w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu. Na ogół był lubiany ale pedant nie z tej ziemi. Nie był wykształcony ale utalentowany i niegłupi. Liczyli się też z nim bardzo. Nas obdarowywał zawsze cukierkami i bilonem austriackim. Był już wtedy koło trzydziestki ale kawaler.

W porze letniej matka czy ojciec częściej nas zabierali ze sobą czy to do kościoła (szopy), czy do sklepu względnie w odwiedzinach do stryja Kuby czy do cioci Przepiórowej, siostry ojca. Tam nawet lubiłem zachodzić bo tam miałem rówieśników i przez to że wujek (sfok) miał skrzypce i basy więc grywał nam na tych skrzypcach.

Na Szkaplerzną 16 lipca wybrał się z nami ojciec na odpust do Moszczenicy. Pamiętam, że wtedy zapisał nas w zakrystii do Świętego Szkaplerza. Kupione przez ojca Szkaplerze na kramie ksiądz po poświęceniu założył nam na szyję. Po drodze na odpust i z odpustu ojciec spotykał się dużo znajomych, wszak to była jego rodzinna wioska. Dziwnym mi się wtedy wydał strój starszych mężczyzn. Szli w długich białych „pulankowych” lnianych „plóciennicach” (płaszcz). Pod rozpiętą plóciennicą widać było kamizelkę sino-niebieską pod samą szyję a na nią włożony kołnierzyk od koszuli pulankowej białej. Kamizela miała dwa rzędy gęste guzików metalowych, błyszczących od ramion do dołu zwężające się. Spodnie białe, pulankowe przypasane szerokim pasem na koszuli na spodniach. Pas posiadał mosiężną sprzączkę, cały był we wzory podziurkowany zaś dziurki były obkute mosiężnymi kapslami. U pasa z boku zwisał kapciuch z tabakiem do fajki. Kapciuch ten był zrobiony z wyprawionego pęcherza moczowego, ozdobiony

obszyciami kolorowymi z góry i z dołu, zakończony kolorowym kutasem. U góry była ściągawka zaś u ściągawki mały kutas i mosiężna przytyczka do fajki. Niektórzy mieli takie kapciuchy długie niemal jak ręka do łokcia. Takie długie kapciuchy były obwijane koło pasa, te krótsze były tylko wsunięte pod pas. Buty tylko z wysokimi cholewami i podkówkami. Na głowach mieli albo kapelusz słomiany albo czapkę o niebieskim dnie z wyrżniętymi nausznikami związanymi na czubku.

Przychodził wreszcie czas, kiedy miałem rozpocząć naukę szkolną. Matka dopilnowywała mnie bym pisał i czytał coraz więcej, kupiono mi elementarz i tabliczkę z rysikami. Widocznie jakieś pojęcie nabierałem skoro z pomocą przy niektórych wyrazach czytałem elementarz a nawet i drukować próbowałem. Przed jesienią gdy już miałem być zapisany do szkoły zabrali mnie rodzice do miasta do Gorlic, gdy jechali ze świnia na jarmark. Z tego zapamiętałem jak przychodzili kupcy i z wysoka z góry bili w rękę ojca i bardzo się targowali. Po sprzedaniu świni przyszedliśmy do miasta, krzyki tam były i cizby nie mniejsze niż na targowicy. Zostawiono mnie na wozie a wszyscy rozeszli się za sprawunkami. Zachciało mi się wtedy sikać ale gdzie miałem się udać kiedy wszędzie pełno ludzi, koni, wozów. Męczyłem się z tym, aż gdy matka nadeszła z butkami, ja buchnąłem płaczem. Długo mnie matka pytała o co płaczę, co mi jest. Wyjąkałem o co chodzi, wtedy matka szybko kazała mi zejść z wozu oraz pomogła mi w tym, i kazała mi pod wóz wysikać się a sama stanęła zasłaniając mnie.

Wtedy kupiono mi buty do szkoły i coś z odzieży, zaś najwięcej mnie cieszyła kupiona torba na plecy do szkoły. Bardzo mi się podobała, tym więcej że w klapie na zewnątrz było wprawione lustro. W tej torbie już miałem kupiony piórnik z rysikami.

Na tym jarmarku widziałem dużo Rusinów z dużymi włosami aż poza kark i Żydów z brodami i pejsami skręconymi - bałem się tych ludzi okropnie. Owszem znałem już wcześniej innych Żydów, którzy przychodzili do domu po jajka. Chodził często Chaim ze Rzepiennika a za cielakami przychodził Zelek ze Staszówki, chociaż bałem się ich ale oni byli już znajomi. Bałem się Żydów choćby i z tego powodu, że zamęczyli Pana Jezusa o czym mi nie raz matka opowiadała. Może jeszcze więcej bałem się Cyganów, którzy od czasu do czasu przychodzili natarczywie domagając się wsparcia, z tego powodu, że z podsłuchania starszych było mi wiadome że są czarownikami, niektórzy Żydzi też i Rusini. Szli też wtedy od domu do domu „dziady” i „dziadówki” oraz ułomni żebracy - tych się mniej bałem. Zawsze w okresie przed jakimiś świętami bardzo dużo dziadów przychodziło po kilkoro na dzień. Każdy taki dziad czy dziadówka po wejściu do mieszkania zrzucali

z siebie torby na ziemię, klękali koło tych toreb, pytając za jakimi duszami mają się modlić i mówili półgłosem pacierz, a bywało że go dobrze nie umieli. Otrzymywali albo jajka czy kromkę chleba, czasem parę garści zboża względnie jakiś posiłek stosowny do pory dnia.

Nadszedł wrzesień, matka zaprowadziła mnie do kierownika szkoły Mikołaja Jędrusiaka (ur. w Turzy) przy zapisie złożyła jajka i masło, za to dostałem od kierowniczkii cukierka. Gdy przyszło iść do szkoły nie chciałem sam iść to matka podprowadziła mnie ku Pietrysinej olszynie, pokazała mi szkołę i dzieci, tam kazała mi iść a sama ode mnie uciekła. Na to ja w płacz, ale do szkoły poszedłem. W następnym dniu też nie chciałem sam iść, więc matka porozumiała się z innymi matkami i ich dzieci przychodziły po mnie, byli to: Janek Smoszna i Ewa Kucharzyk. Naszą pierwszą klasę uczył młody nauczyciel z Tuchowa (który pod czas wojny światowej zginął).

Nauka od początku szła mi dobrze bo ja już pisałem mniejsze zdania a nawet druk, tymczasem inne dzieci dopiero kreski i kółka pisały. Bywało tak, że po wykładzie gdy nauczyciel kazał coś dzieciom odpowiedzieć a nie wiedziały, nie rozumiały żadne wtedy mnie wywoływał i ja odpowiadałem. Zaś naukę w pierwszej klasie lekceważyłem i nudziłem się, widział to nauczyciel.

W tej jesieni pierwszy raz u nas młócili w maszynie od wieczora do późna w nocy. Ja byłem ciekawy to widzieć, lecz światło z latarni było słabe nie wiele co mogłem zobaczyć. Kiedy jeszcze przygotowywali się do młocki a było tam na boisku kilku mężczyzn, nudziło mi się tak stać i patrzeć, krzyknąłem na Franka od cioci gdyż go w mroku nie poznałem „chłopak przynieść mi stół!” z tego wszyscy się uśmieśli a ojciec przepędził mnie do domu spać. Inne zdarzenie miałem późną jesienią, idąc z kolegami do szkoły a było to w porze deszczowej, gdy inni chłopcy omijali wyboje z wodą na drodze to ja mając buty z cholewami właśnie nie omijałem. Gdy przyszło przejść pod Drewniaczka bajoro większe niż inne, to też go nie obchodziłem z innymi chłopcami, tylko przez środek szurałem a woda niemal do kolan sięgała i za cholewy się nalało. A niespostrzeżenie, moja matka idąc do sklepu po zakupy widziała to z nieopodał. Kiedy więc wróciła do domu opowiedziała to ojcu i gdy ja wróciłem ze szkoły kazano mi buty zdjąć, pokazać onuce a że były mokre - dostałem lanie aż miałem „kielbasy” siwe na plecach.

Gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia matka przygotowała nam w tajemnicy choinkę, tak że gdyśmy zbudzili się we wigilię to choinka już stała ubrana w pokoju. Była to nasza pierwsza choinka i wielkie przyjemność.

Rok 1914. Ja mam lat 7.

z okresu zimy pamiętam, że do ojca często przychodzili sąsiedzi wieczorami na pogawędkę: Hudzik Franciszek i Pierz Józef a niekiedy i Stępień Jan, kolega ojca - stąd kolega że razem służyli u jednego gospodarza w Moszczenicy. Ojciec bowiem gdy miał 6 lat wydany został do pasienia gęsi i odtąd w domu rodzinnym nie miał miejsca. Nim wyrósł i wyjechał do Ameryki służył 6 lat u Mruka Jędrzeja za pastucha i 6 lat u Mruka Leona za parobka. Podczas tych pogawędek zimowych najczęściej rozmawiali o Ameryce, wszak wszyscy tam byli krócej czy dłużej oraz wszyscy wychodzili z Moszczenicy i jedną kolej losu przechodzili. Często też wspominali, że będzie wojna lecz kto z kim nie mogłem rozeznaczyć. Bywało, że i ojciec wychodził wieczorami do sąsiadów.

W zapusty zabrał mnie ojciec do cici z „potoka”. Po ugoszczeniu wieczorem zebrano muzykę no bo „sfok” umiał grać na skrzypcach i miał instrumenty: dwoje skrzypiec i basy. Tak sobie i zaczęli tańczyć w małej izdebce a że coś tam popijali to było wesoło że nam się nie chciało stamtąd odchodzić mimo nocy.

W okresie zapustu, przy jakiejś okazji matka zetknęła się u Pietrysi z nauczycielem - wychowawcą moim, zapytała go o moje postępy w nauce i zachowanie. Oświadczył więc, że jestem z nauką 1-szej klasy prawie opanowany i że ma gorzej pojmujących w 2-giej klasie. Dalej podpowiadał matce, ponieważ lekceważę naukę na lekcjach, aby porozmawiać z kierownikiem szkoły, może by się zgodził przepisać mnie do 2-giej klasy w ciągu roku szkolnego. Niezwłocznie więc udała się do kierownika M. Jędrusiaka z prośbą o moje przesunięcie. Kierownik zgodził się na przesunięcie po uprzednim przeprowadzeniu ze mną egzaminu. Pamiętam, że było to w środę popielcową jak egzaminowali mnie kierownik i wychowawca, w rezultacie na końcu kazali mi w następnym dniu przyjść do szkoły na godzinę 8-mą rano na lekcje 2-giej klasy, nie tak jak dotąd, gdyż chodziłem na godzinę 13-stą do klasy 1-szej a odtąd już do końca roku szkolnego uczęszczałem do 2-giej klasy. Największą trudność w drugiej klasie miałem z tabliczką mnożenia ale wnet się z tym uporałem, ponieważ będąc jeszcze w klasie 1-szej w kolejności mogłem policzyć do 100. Równocześnie z nauką w klasie drugiej spadła na mnie i nauka katechizmu, w tym celu - nie wiem jaką drogą - matka przyniosła mi sprezentowany katechizm. Wspomnieć również należy, że Pismo Święte: Stare i Nowe Przymierze było u nas w domu a że mogłem czytać drukowane to się już z tym zapoznawałem.

Następnym wydarzeniem większej uwagi była wizyta ojca Biskupa przemyskiego Pelczara. Codziennie z dziećmi uczęszczałem na naukę religii i miałem już pierwszą spowiedź, ponieważ ksiądz proboszcz Adolf Majewicz kilku zdolniejszych dzieci z młodszych miał zamiar przygotować do I-szej Komunii Św. i Bierzmowania. W ostatnich jednak dniach przed wizytacją został wezwany do innych parafii do obsługi wizytacji, nie zdążył więc przerobić z nami jeszcze jednej religii więc pozostawiono nas na później.

Ja miałem już uszyty nowy mundurek kremowy. Z tej samej materji miała poszyte bluzy i spodnie banderia na koniach. Mogłem wówczas dużo zobaczyć ponieważ większość uroczystości odbywało się na polu na cmentarzu przy ołtarzu polowym, ponieważ tymczasowa szopa nie pomieściłaby wszystkich. Wspaniale wyglądała banderia w krakowskich rogatywkach z pawimi piórami, kremowe bluzy i spodnie, buty z cholewami a za cholewą drzewce z chorągiewką.

Nowy kościół kolos w stosunku do starego kościółka był już pod dachem, jeszcze bez wieży nie podwieziony, bez okien, drzwi i nie sklepiony. Następnie to koniec roku szkolnego z ukończoną przeze mnie 2-gą klasą z przejściem po wakacjach do klasy trzeciej.

Ważne wydarzenie miało miejsce w miesiącu lipcu. Było to przed wieczorem w sobotę, byliśmy wszyscy na dworze gdy usłyszeliśmy ogromny trzask i huk dolatujący od nowego kościoła (odległość ok. 1 km.). Okropnie to przeraziło rodziców, pośpiesznie porzucili prace koło domu i pobiegli oboje ku kościołowi. Wtedy to sklepiono nawę główną i w tym dniu zakończono sklepić ostatni łuk koło chóru, ktoś tam zarządził by niedzielę zdjąć „busztele” - podporę sklepu. Gdy wyznaczeni robotnicy wybijali kliny by busztele obniżyć do rozbiórki, wówczas jeszcze świeży sklep runął na tych robotników. Okropnie dwóch robotników pogmiotło, tak że obaj wkrótce zmarli, dwóch zaś ocalało ale ślad na ich zdrowiu pozostał. Zabici zostali Klimek i Bacia. Rannymi zaś zostali Koryga Klimek i Wiktor Koryga, który przez wystrzał został jakby przytępiony na umyśle. Wstrząsające to było wydarzenie. Dalsze prace przy kościele wstrzymano. Miano pociągnąć do odpowiedzialności budowniczego ale jakoś się wykręcił, bowiem wkrótce wybuchła I wojna światowa (14 lipca). Przed wybuchem wojny z rozmowy dorosłych zrozumiałem, że został zabity syn cesarza France Józefa Ferdynand w Serbii przez studentów w Salonikach, co było tematem nie schodzącym z ust.

Naraz 14-go czy 15-go lipca, była to niedziela gdy rodzice wrócili z sumy z kościoła dowiedzieli się, że wojna się rozpoczęła. Widzieli odczytali wielki czerwony afisz z odezwą cesarza pod tytułem „wierny Ludu Wojna”. Zaraz też w kolejnych dniach podawano z ust

do ust., że tych a tych mężczyzn żandarmi zabrali z miejsca do wojska i to się ciągle powtarzało.

Niezwłocznie nastąpiła druga sensacja, że Moskale wypowiedzieli i uderzyli na Austrię czyli wojna zagorzała na ziemi Galicyjskiej (dzisiejszej Małopolski, plus ziem lwowskich, stanisławowskich i część Wołynia).

Niezależnie od tego nadszedł wrzesień i nauka w szkole się rozpoczęła i ja jako trzecioklasista. Miesiąc czasu tylko uczęszczałem do szkoły. Uczyła mnie wtedy kierowniczką Jędrusiakowa. Poprzedni bowiem mój wychowawca powołany został do wojska. Z tego okresu zapamiętałem, że jednego razu klęczałem pod tablicą za karę, że nie zrobiłem zadania domowego o którym zapomniałem, okropnie mi było wstyd i płakałem. A drugie to, że nauczycielka na mapie pokazywała tam, dokąd to już Moskale doszli, np. Lwów i inne miasta. Przed końcem września zapowiedziana została przerwa w nauce szkolnej z tego powodu, że miało przyjść wojsko.

Już pod koniec września zaczęły przychodzić pierwsze wiadomości z frontu o tych którzy zginęli na froncie. Taką wiadomość podano nam w szkole też o naszym nauczycielu - wychowawcy 1-szej i 2-giej klasy. W tym też czasie co raz to więcej żandarmeria zabierała mężczyzn do wojska nawet starszych do 50-tego roku. A jeśli był pobór tzn. „asenterunek” to uznanych za zdolnych do służby wojskowej zabierano z miejsca od Komisji. W ten sposób większość mężczyzn ze wsi była już pod bronią. Sytuacja wytworzyła się taka, że nie miał kto plonów zbierać z pól. Wobec tego władze przysłały oddział żołnierzy do pomocy samym pozostałym kobietom w pracach polowych. Jak się okazało byli to prawie sami Żydzi z miast. Pamiętam, że i do nas też przysłano na prośbę matki 2-ch Żydów, jeden z zawodu krawiec ze Lwowa a drugi malarz pokojowy z Brodów. Nie mieli oni żadnego pojęcia o pracy w polu. Najpierw matka kazała im kopać ziemniaki. Gdy matka wyszła do nich po jakimś czasie oni nie zaczęli kopać bo nie wiedzieli jak to robić, pokazała im więc ukopawszy jeden koszyk oddała im motykę i kazała zaczynać. Niepodobna to była robota do niczego, bo jeśli rąbnął motyką to w sam środek rzędu i prawie wszystkie tam ziemniaki poprzecinał. Tak wykopane połówki nieschylając się nabijali na motykę, dopiero z motyki zbierali do kosza i gdy wskazówki matki nie dawały rezultatów, matka kazała im zejść z pola. Zaprowadziła ich znów na boisko by młócili, zwałała snopów i pokazała jak się młóci cepami. Nic z tego nie wyszło. Cepy w ich rękach nawet obracać się nie chciały a jeśli uderzali już cepami to w jednym miejscu obok snopa, u snopa zaś były kłosa nietknięte i taki mógł być nigdy nie omlócony. Cóż z nimi robić? Odnosnie tego co był

krawcem, pożyczyła matka maszyny do szycia i kazała mu szyc w domu płaszcz dla ojca z przeróbki i dla mnie mundurek do szkoły. Była to jednak maszyna napędzana korbką ręczną więc przy tym całym szyciu ja musiałem korbą obracać. Tymczasem drugiemu kazała drewno na opał rąbać, porąbał do końca dnia ale przy tym pokaleczył się, poobijał, odparzył ręce a zmęczył się okropnie, że już na drugi dzień nie mógł nawet siekiery w rękę utrzymać a całej roboty nawet znać nie było. Wobec tego matka kazała mu odejść, poszedł do Żydów do Zelka i tam był do wyznaczonego czasu. Drugi z zawodu krawiec gdy skończył u nas to szycie ktoś go znów we wsi zabrał do szycia.

Wypada mi jeszcze cofnąć się trochę wstecz i opisać o dworze w sąsiedztwie. Dwór to był szlachecki ale dawniej o kilkadziesiąt lat wstecz. Ostatni szlachecki właściciel, jak opowiadała mi matka która jeszcze odrabiała pańszczyznę, nazywał się Koziorowski, który miał Turzę i Biesną. Po większej części mieszkał w Biesnej ale często i w Turzy przebywał. Jak on się prowadził to mi nic nie wiadomo, w każdym bądź razie miał poważne zadłużenia, tak że następny nabywca - Niemcyccy tylko nieznaczną część wypłacili z ceny kupna sprzedaży, resztę należności mieli wpłacić do kasy „żelaznej” (tak to nazywali) za zadłużenia.

Niemczycka z rodu szlachcianka (hrabianka) pochodziła gdzieś z Wołynia. W majątku jej rodziców Niemczycki zajmował stanowisko zarządzającego - ekonoma, czy jakoś tam. Tam zawiązał się romans między Niemczyckim - ekonomem a hrabianką. Ponieważ z tego romansu hrabianka zaszła w ciążę. Rodzice hrabianki za karę przez wstyd zakupili resztę majątku po przeprowadzonej parcelacji gruntów dworskich u Koziorowskiego, w sumie około 60 morgów austriackich. W celu jednak pokrycia zadłużenia na żelaznej kasie Niemcyccy jeszcze rozparcelowali około 20 morgów. Z tej parcelacji ostatniej właśnie ojciec wykupił 4 morgi. Wspomnieć przy tym należy, że hrabia - ojciec Niemczyckiej wykupując majątek w Turzy właścicielką uczynił nie córkę za karę lecz wnuczkę a najstarszą córkę Niemczyckich, mimo że była wówczas dziećciem. Niemcyccy poza najstarszą córką Jadwigą mieli jeszcze dwóch synów Tadeusza i Mieczysława.

Do czasu wojny mało znałem sąsiedztwo dworu choćby z tej przyczyny, że nam rodzice nie pozwalali nawet na drogę wychodzić i straszili panem, że nas będzie strzelał. Takie strzelania często się słyszało w ogrodzie. I choć nas nęcił ogród pełen owoców na które patrzyliśmy co dnia tym bardziej, że u nas nie było jeszcze w ogóle owoców. Bywało więc i tak, że zachodziliśmy na szarpkę koło drogi patrzeć jak w ogrodzie zbierano owoce. Czasem gdy pan czy pani byli w lepszym humorze rzucali nam przez płot kilka jabłek czy

gruszek. Wiem, że mieli wtedy kilkoro służby. Często też ktoś ze służby przychodził do rodziców w różnych sprawach osobistych czy z polecenia dworu w sprawach sąsiedzkich. Nieraz ze dworu do nas słychać było muzykę z gramofonu czy fortepianu.

Z tą chwilą gdy wojna wybuchła obaj młodzi Niemczyccy z obawy by nie zostali włączeni do armii austriackiej ochotniczo zgłosili się do legionów Piłsudskiego. Córka bowiem Jadwiga daleko wcześniej wyszła za mąż za adwokata z Rymanowa Dobrowolskiego.

Gdy więc front wojny zbliżał się starsi państwo Niemczyccy tylko oboje ze służbą zostali, opanowała ich panika. Pamiętam, że pani Niemczycka osobiście pierwszy raz do nas przyszła ze strachem i co począć. Wtedy to było z końcem września, gdy im już jedną parę koni zabrano dla wojska, wpadł młodszy syn do rodziców z tym by natychmiast uciekali na Węgry, gdzieś tam dla rodziców przygotował jakieś miejsce.

Pośpiesznie więc co dało się sprzedać z inwentarza sprzedano, co nie sprzedano z inwentarza żywego rozłokowano po gospodarzach we wsi. To samo z maszynami, sprzętami domowymi i kuchennymi. Np. u nas wiem, że były na przechowaniu młocarnia, młynek, krzesła odarte z aksamitu czerwonego i cała skrzynia naczyń kuchennych. Najniezbędniejsze rzeczy i wartościowe załadowano na 2 wozy i wyjechali pozostawiając wiele wartościowych rzeczy na pastwę losu, gdyż nikogo nie zostawiono na stróżowania prócz psa „Trojana”. W parę dni po ich wyjeździe wioska nasza zalana została wojskiem.

Byli to Czesi. Było ich pełno po domach a we dworskich budynkach najwięcej. U nas na przykład w izbie rozłokowało się 5-ciu oficerów, a zaś w całym obejściu, zagrodzie w liczbie około 100 żołnierzy.

W tym czasie ja miałem takie przejście: widocznie ze skakania zerwałem jakąś żyłkę, koło pachwiny na nodze wyskoczył mi zaczerwieniony guz wielkości dużego kurzego jaja. Gdy guz ten zaczął ropieć sprawiał mi okropny ból, stąd dużo płakałem nawet w nocy co przeszkadzało oficerom podczas spania w nocy. Z rana więc jeden z oficerów zwrócił się do rodziców czemu ja tak płaczę, na to rodzice wyjawili powód mego płaczu, ten wtedy kazał odkryć nogę, stwierdził że istotnie tak było i oświadczył że zaraz przyśle lekarza. W istocie koło południa przyszedł lekarz wojskowy z dwoma sanitariuszami a zbadawszy zaraz przystąpił do operacji, to znaczy przeciął nożycami ten guz na pół, wyczyścił z tworzącej się ropy i zabandażował. Odchodząc oświadczył rodzicom, że za trzy dni jeszcze przybędzie by ponownie przeczyścić z ropy.

Podczas tej operacji trzymało mnie dwóch sanitariuszy. Ja z bólu tyle płakałem, ile mogłem i pokąd mogłem aż zesłałem. Przy operacji nie wolno było rodzicom pozostać, musieli się usunąć z bratem. Gdy lekarz odszedł ja wkrótce z osłabienia zasnąłem i zbudziłem się kiedyś po północy. Po tej operacji ból się zmniejszył pozostała jedynie obawa przed zmianą opatrunku. Wobec jednak tego, że nieprzyjaciół się zbliżał, alarmem zebrane wojsko odeszło i lekarz już do mnie nie przybył, nawet obeszło się bez niego bo powoli noga mi się wygoiła więc zacząłem chodzić.

[Po wymarszu wojska zaczął nas dochodzić huk wystrzałów artyleryjskich, następnie niekiedy krótkie strzelaniny z karabinów- były to starcia patrolowe. Czasem przewlekały się przez wieś drogą wozy taborowe pod celtami. Wtedy też zauważyliśmy wielki pożar z Glinika Mariampolskiego. Nie wiem przez kogo została podpalona rafineria nafty. Dokładnie widzieliśmy buchające słupy ognia a olbrzymia wstęga czarnego dymu snuła się przez cały horyzont. Dwa tygodnie trwał ten pożar i jak opowiadano ta czarna wstęga dymu zaniesiona została przez wiatr aż do Krakowa i dalej.]

[Po wymarszu wojska czeskiego żadnego najścia linii frontowej nie było i władzy żadnej. Pozostawili oni we dworze koło gumien i w ogrodzie około 150 wozów forszpańskich, nie które były uszkodzone inne wcale dobre, to też odważniejsi ze wsi chłopcy szabrowali łańcuch oraz co im się więcej nadawało. Wojsko czeskie w budynkach mieszkalnych i gospodarczych narobiło nie mało szkód. Było też tak w tym czasie, że odjeżdżający Niemcy zostawili część ziemniaków nie wykopanych więc skrzyknęło się kilku gospodarzy a że mieli teraz czas, wykopali te ziemniaki, lecz nie lokowali ich w piwnicach dworu lecz rzekomo w tajemnicy zachowali w dole odwodnionym sztucznym ściekiem nad urwiskiem w ogrodzie poczem ziemię zrównali. Wprawdzie one doczekały wiosny - wojska ich nie znalazły więc swoi, którzy o tym wiedzieli wykradli, że mała część ich została.

W tym miejscu chciałbym opisać rozmieszczenie budynków dworskich. Budynek mieszkalny, murowany, parterowy, pokryty papą, posiadał 3 wejścia: od zachodu do ciemnej sionki i kuchni; od północy szerokie schody na werandę - z werandy wejście do kuchni w prawo i wprost do pokoju jadalnego. Od wschodu był jeden pokój, zaś od południa 3 pokoje, przy środkowym obszerny ganek. Budynek ten był w odległości 20 metrów od drogi, dziś sad na tym miejscu rośnie. Od tegoż budynku w kierunku północno-wschodnim mieściły się stajnie murowane lecz mało je pamiętam. W kierunku północnym w odległości 50 m. Chlewy, plewnia. Gumna zaś na zachód od budynku mieszkalnego

w odległości ponad 200 metrów. Stanowiły one czworobok o jednym wschodnim boku nie zabudowanym: był to wjazd. W każdym boku, po środku było duże boisko, zaś po bokach i rogach sąsiadki. Pod bokiem północnym były tak zwane „lamusy” czyli piwnice sklepione kamieniem. W każdej piwnicy można było krótszym wozem nawrócić. Przy dworze był duży sad owocowy o powierzchni około 5 ha. W tym sadzie było 3 gatunki śliwek: jakieś małe „lubaszk”, białe węgierki i węgierki. Jabłoni bardzo dużo gatunków oraz grusze. Kilka drzew orzechów włoskich, z tych jeden olbrzym koło mieszkania. Sad ten był opasany żywopłotem (grabina, głóg, leszczyna) z trzech boków. Wzdłuż drogi ciągnął się około 400 metrów. Koło drogi dobrze utrzymany - obcięty. W pobliżu budynków przeważnie były wielkie drzewa nie owocujące jak lipy - kolosy, dęby, brzozy, kasztany, jasiony, akacje a było też kilkanaście szpilkowych świerków. Na jednej dużej lipie opodal kuchni był umieszczony dzwon, którym dzwoniono na czas rozpoczęcia pracy, posiłków. (Dzwon ten przetrwał wojnę i później odsprzedany został gdzieś daleko na sygnaturkę do kościoła). I jeszcze jedna uwaga dworska, przy pracach tak w polu czy w zagrodzie, jeżeli tylko pracowali ludzie wynajmujący się to już w ciągu całej pracy musiał ktoś z państwa stać nad nimi, choćby przez zmianę to jest pan, pani, względnie panicz Tadeusz, zaś po wojnie Mieczysław. Jeżeli nie było ludzi najemnych to wtedy stójka była nad służbą.

W listopadzie pewnego razu matka zapędziła się by na południe przyprowadzić krowy, które jeszcze pasły się na dworskim, powyżej drogi na ściernisku, nagle zobaczyła jakieś wojsko na koniach jadące z góry od kościoła. Gdy ich wtedy zobaczyła przelekła się i zaczęła cofać się do domu, było jednak zapóźno, gdyż ją też zobaczono, a widzieli że zaczyna się cofać, zaczęli ją wołać - raczej krzyczeć na nią, nie rozumiała ich jednak wtedy czterech na koniach z dzidami zabiegli jej powrót do domu i ze skierowanymi dzidami w nią zawrócili tak ją prowadząc do oddziału, który czekał na drodze w liczbie około 150, mieli też na wózkach karabiny maszynowe. Był to duży patrol rosyjski. Z tego oddziału jakiś tłumacz brał ją dopiero na spytki, bo inni tylko wołali „kuda austrijcy”. Tłumacz zaś wypytywał gdzie jest austrijackie wojsko, kiedy było, jak dużo a że zobaczyli te pozostawione wozy koło dworu liczyli że i wojsko jest. Dopiero gdy wysłali dwóch na koniach, którzy objechali koło dworu a wojska nie znaleźli zwolnili ją.

Ja przypadkowo wybiegłem na podwórze koło domu, zauważyłem, raczej posłyszałem tupot koni i jakieś krzyki. Zobaczyłem ich jak już przejeżdżali drogą ku Moszczenicy. Wtedy też nadeszła matka z krowami, przelekniona okropnie. To było pierwsze spotkanie z Moskalami. Patrol ten, jak się później dowiedzieliśmy, spotkał się

z patrolem austrijackim gdzieś za Krzyżówką ku Łużnej. Była wtedy potyczka a odgłosy strzałów słyszeliśmy. Prawdopodobnie wobec silniejszego oddziału rosyjskiego patrol austriacki zbiegł. Coś tam było zabitych po tej i tamtej stronie.

Po tym wydarzeniu przez jakiś czas nie widać było żadnego wojska, aż gdy nadszedł grudzień widzieliśmy jak na drodze w Staszówce od Łużnej i od Moszczenicy ciągnęło wojsko moskiewskie i forszpany (tabory) w kierunku na Ciężkowice. Wtedy to bywało, że małe grupki żołdaków 4-ech, 5-ciu przechodzili po domach za jedzeniem, za kurami i w ogóle rabieżąc. Ten przemarsz wojska Staszówką, był to front skierowany na Kraków, który odpierał ataki od wschodu, wobec tego wojska te miały uderzyć od południa. Lecz ten manewr się nie udał bowiem doszli do Dunajca, a że most był wysadzony grupowali się na jego brzegu oraz rozpoczęli budowę mostu prowizorycznego gdy takowy zbudowano zaczęli forsować Dunajec, a że skupisko wojska zrobiło się u tego mostu, wówczas ukryte wojska austriackie zaatakowały zwłaszcza artyleria ciężka. Gdy więc otwarli ogień nabili wtedy tak wojska rosyjskiego, że mało nie zasłali trupami wodę na Dunajcu. Z takim też popłochem uciekały resztki rozbitków, że się opamiętać nie mogli. Gdy jedna grupa rozbitków wpadła do nas, pamiętam jak jeden Moskał, Moskał nie Moskał boć to był Polak z zaboru rosyjskiego, płakał jak dziecko bo komandira zabili a on był jego ordynansem i dobrze mu z nim było, a tak to zostanie wcielony do innej roty i musi iść na front.

O tyle mogliśmy się porozumieć z Moskałami, że właśnie dużo było Polaków z Wielkopolski (z Kongresówki, zaboru rosyjskiego).

Wreszcie nadszedł pamiętny dzień 8 grudnia (Niepokalane Poczęcie N. M. P. święto). W wigilię tego święta, wieczorem dało się słyszeć walki frontowe koło Gorlic. Wyraźnie dało się rozróżnić huk artyleryjski, karabinów maszynowych oraz broni ręcznej. Całą już noc trwała ta strzelanina, nawet w nocy widać było przez okno błyski wystrzałów i rakiety. Rodzice mało co spali a tylko wpatrywali się strwożeni Skoro nadszedł dzień już się koło domu robiło pełno żołdactwa a odgłosy strzałów znacznie się zbliżyły, zaś koło dziewiątej naraz zaczęły granaty artyleryjskie wybuchać wśród naszej wioski. Wtedy rodzice szybko porozumieli się i nas matka zabrała by schronić się do doliny Jarkowej a ojciec sam miał zostać koło domu dozorować bo Moskale co raz to inni wpadali za jedzeniem, za kurami i rabunkiem. Bywało, że jednych dawało się z niczym odprawić ale z innymi gorzej było, wtedy zabierali co im się nawinęło. Strzelanina frontowa trwała cały dzień. Wojsko austriackie atakowało z Moszczenicy. Artyleria austriacka ze wzgórza Krakowskiego prażyła na Turzę prawie jednostajnie bo widzieli dokładnie tego żołdactwa

pełno koło domostw i po dolinach. Widzieliśmy też dokładnie jak koło Jarkowej biegła z ogrodu dworskiego grupa Moskali, gdy zbiegali z pagórka wtedy kilka granatów wpadło w nich i poraniło ich, gdyż później pozbiali ich na nosze. Cały dzień padały pociski granatów i szroponeli, a z ręcznych karabinów jednostajnie słyszało się fiuu! piuu!. Austriacy mimo wszystko oszczędzali ludność cywilną bowiem ani jeden budynek nie trafiony ani pożaru nie było.

Pierwszy raz mieszkańcy naszych wiosek widzieli i przeżyli walki frontowe, wojnę. Gdzie kto mógł to się chronił. Myśmy, jak zaznaczyłem schronili się do doliny do Jarkowej. Niedaleka sąsiadka Pierzowa, matka Staszka i Franka, znów z dziećmi uciekła do murowanego domu do szkoły. Gdy minęła już dwór na drodze kilka metrów przed nią wybuchł pocisk artyleryjski, ona wówczas upadła z dziećmi na rękę, a była niedawno po porodzie, to też niedługo potem słabowała i zmarła.

U Jarkowej, gdzie myśmy się udali z matką, było już parę kobiet z dziećmi, przeważnie z „górką”, a później co raz więcej dolatywało. Co tam było lamentów, pacierze, wszyscyśmy mówili głośno. Później gdy bliżej padło kilka granatów kobiety śpiewały „Kto się w opiekę” itd. Nam, mniejszym dzieciom kazano wejść wszystkim pod łóżko, a na łóżko i wokół łóżka obstawiono pierzynami. Bo rzekomo przez pierzynę kula nie przejdzie. Było nam tam ciasno i duszno, zaczęły się kwiki i płacze, w końcu po jednym wyszliśmy z pod tego łóżka spoceni jak mysz.

Moskali w domu nie było, kilka razy zapędzili się do domu ale stanawszy w progu widzieli tyle ludzi, dzieci, przy tym modlących się lub śpiewających więc cofnęli się. W podwórzu natomiast pełno ich było, w stodole, na boisku, która stała tuż koło potoka to też ciągle przebiegali pod osłoną wierzb i widać było, że uciekają. Pędziły Moskale wojska madziarskie aż od Węgier, bo aż tam dotarli Moskale przy zdradzie wojsk czeskich. Gdy więc już zapadł zmierzch pod osłoną nocy całą masą wszystko uciekło, zrobiła się wtedy cisza, strzałów już nie było słychać. Wtedy zaczęli się wszyscy rozchodzić do swoich domów. Nas również matka zabrała, wróciliśmy do domu. Tyle, że po drodze natknęliśmy się na rozciągnięty po ziemi kabel telefoniczny. Noc następna przeszła zupełnie w spokoju. Rano rodzice wcześniej pobudzili się, by przygotować się ponownie do ucieczki, nas też wcześniej poubierano, nakarmiono, przygotowano też chleb, który mieliśmy zabrać ze sobą, lecz mimo że już dzień się zrobił było cicho wokół. Czekamy. Było to 8 grudnia. Po pewnym czasie ojciec zauważył, że na drodze od Moszczenicy zbliża się do Turzy jakieś wojsko na koniach, po kilku minutach byli już opodal naszego domu. Mieli całkowicie inne

mundury, byli w niebieskich kurtkach oraz czerwonych spodniach. Karabiny mieli krótsze i bez tych długich pik. Rozmawiali, śmiali się ale nikt nic nie rozumiał. Za tym patrolem konnym ruszyło dalsze wojsko, artyleria, tabory. Kilku zboczyło z drogi weszli do naszego domu. Niektórzy zaczęli się myć, inni nawet się golili a przede wszystkim wnieśli do domu worek z konserwami, pootwierali puszkę a ich zawartość wyłożyli na rondle, podgrzali to, pojedli z chlebem. Rodziców też obdarowali konserwami i pojechali. Bardzo nam to mięso z konserw smakowało. W tym czasie znów na nowo rozpoczęła się strzelanina ale już w Rzepienniku i dalszych wsiach. Walki na tamtych wioskach jak Jodłówka, Żurowa były sroższe i trwały dzień i noc. Tam już Rosjanie większy opór stawiali, ale co dzień front jeszcze się oddalał. Dochodziły nas tylko wieści podawane z ust do ust, że dużo tam ginie żołnierzy austriackich oraz bardzo dużo jest rannych. Po tygodniu już słyszeliśmy z frontu w powietrzu tylko dudnienie. Na kilka dni przed Świętami Bożego Narodzenia to dalekie dudnienie naraz się zwiększyło i można się było domyślić, że front się zbliżył. To przypuszczenie potwierdziło to, że drogą przez „krakowskie” na Sitnicę, Suchy Rzepiennik w poprzedni dzień tabory ciągnęły ku Sitnicy w górę a w ten czas ruszyły w odwrotnym kierunku ku Moszczenicy w dół. Później zostało wyjaśnione, że wojska austriackie wyparły Moskali aż pod Pilzno, wtedy doszły nowe pułki i chociaż znaczne siły rosyjskie pod przewagą wojska austriackiego cofały się.

W tym czasie gdy front się od nas oddalił a wojska żadnego u nas nie było, rodzice postanowili ubić jednego prosiaka bo ich było dwa a w warunkach jakie się wytworzyły nie było co myśleć o sprzedaży. Tak też uczynili, ale gdzie teraz to przechować, bo wszystko wojsko za tym najwięcej buszowało a tu zapach wyrobów zdradzał już na podwórzu. Nie sposób było i w kuchni coś przyrządzić. Chowali więc gdzie mogli, przenosili wciąż, poza domem znów koty, psy grzebały i wyciągały.

Front wojenny zbliżał się, smutno zapowiadały się święta. I jeszcze o jednym należałoby wspomnieć, w tym roku 1914 jesień była wyjątkowo ciepła i długa. Grudzień już był ale o śniegu i o mrozie nie było mowy, dopiero w drugiej połowie grudnia przyszły deszcze ale bez chłódów. Największą wtedy trudnością było to, że powstał na drogach wielkie błota a przejeżdżające tabory wojska austriackiego brodziły i rozrabiały je bardziej.

Nareszcie i święta. Boże Narodzenie w tymże dniu naciągnęło z frontem: masą wojska cofającego się. Głodne, obłocone, wszyscy natarczywie domagali się chleba czy w ogóle jakiejś strawy. Rodzice musieli wszystko pochować bo za jedzeniem jeszcze jedni nie odeszli a drudzy nadchodzili. Zaglądali wprost do garnków, do szaf i to co raz

natarczywiej. Dobrze zapamiętałem, że w tym dniu koło godziny 14-tej po południu naraz powstała taka luka, taka chwila, że nie było żołnierzy w domu ani w obrębie, a że rodzice najczęściej obawiali się o słońcę, która była ukryta w izbie pod łóżkiem na korycie celem nasolenia. Postanowili wynieść ją i zachować na strychu. Wtedy mnie i bratu kazano wyjść na podwórze i obserwować czy jacy żołnierze nie zbliżają się ku domowi, o czym mieliśmy szybko zgłaszać. A był u nas wtedy Jędrzej Wrona - siostrzeniec matki, który wstąpił do ciotki po nabożeństwie, był gdzieś w 17-stym roku życia. On dopomógł rodzicom usunąć tę słońcę na strych oraz koryto, któremu nawet nie mogli dać rady, było bardzo ciężkie (pożyczone od Hudzika - sąsiada).

Ledwie że się z tym uporali i mieli jakiś posiłek spożyć gdyż nikt obiadu nie jadł, aż nowa fala wojska nadeszła zgłodniała. Ci to już nie prosili o chleb, o jedzenie lecz sami zaglądali do garnków, do szaf a nawet szukali w pokoju czegokolwiek. Kazali sobie też otworzyć komorę, że zaś tylko śliwki suszone znaleźli, które nadawały się zaraz do zjedzenia więc je wszystkie zabrali.

Na noc w tym dniu rozlokowało się pełno wojska po domu. Nanieśli pełno słomy na całej kuchni i ułożyli się pokotem jak śledzie. Dwóch zaś jakiś oficerów spało w izbie z nami na słomie. Do kuchni podciągnęli kabel telefoniczny, przy którym miał telefonista dyżurować. Nam domownikom kazano ułożyć się do spania z zapewnieniem byśmy byli spokojni. Że byli srodze strudzeni zaraz po ułożeniu posnęli. Wcześniej kazali dom zamknąć. Myśmy jednak nie mogli spać, rodzice też czuwali lecz chodzić nikt się nie odważył. Słyszeliśmy w ciągu nocy telefon jak dzwoni i dzwoni. Telefonista zasnął i nie odebrał telefonu. Po przebudzeniu szybko dzwonił brzęczykiem pragnąc nawiązać łączność, nikt mu się nie zgłaszał. Dzwonił więc rozpaczliwie i wołał do słuchawki „halo austrijaki”. Mieli z tego dorośli śmiechu co niemiara i zabawę.

W tym wypadku telefonista dzwonił lecz nadaremnie bo łączność była przerywana. Na to dzwonicie telefonisty zbudził się dowódca, który spał z nami w izbie. Zerwał się i pobiegł do telefonisty, zaczął sam dzwonić a że mu się nikt nie zgłosił skrzyczał okropnie telefonistę. Że zaś miał być Czechem, tośmy zrozumieli gdy wołał do telefonisty: „że nie dopilnował, tyś nas skazał na rzeź jak barany”, poczem natychmiast zrobił alarm. Wszyscy wtedy pozrywali się i wymaszerowali, a było to przed świtem na Szczepana. W drugie święto 26 grudnia jeszcze do południa przechodziły cofające się wojska austrijackie. Po południu przynajmniej już koło nas austriaków nie było. Koło godziny 15-tej zobaczyliśmy szarą tyralierę Moskali nad górką, którzy pojedynczo dawali strzały

z karabinów. Nie upłynęło jeszcze 10 minut a już dwóch weszło do naszego domu z pytaniem „kuda austriacy”. Powiedziano im, że u nas nie ma austriaków, załadowawszy nowe magazynki naboju do karabinów wolno poszli w kierunku Staszkówki przez pola. Po wieczór było ich już pełno. Ze względu jednak na to, że we dworze było duże lokum dla wojska, władza całego pułku zajęła u nas mieszkanie. Wszyscy, którzy wcześniej się rozlokowali musieli się usunąć. Izbę zajęło 5-ciu oficerów i pop jako szósty. Kuchnię myśmy zajmowali i dwóch ordynansów. 27 grudnia gdyśmy rano powstałi, po strzałach dało się rozpoznać, że austriacy zatrzymali się w Staszkówce i linia frontowa szła przez środek wsi. Drugą nowością było to, że w nocy spadł pierwszy obfity śnieg. Ponieważ dowództwo i władza u nas się mieściła to też prawie drzwi się nie zamykały bo stale gońcy przychodzili po rozkazy i z meldunkami. Że zaś nasz dom jest na wyżyźnie i niczem nie zasłonięty łatwo więc przez lornety mogli austriacy zobaczyć o tym ruchu gońców. To też 28 grudnia po południu jak nie zaczęła w nasze obejście prażyć artyleria ze Staszkówki szrapnelami i granatami, to tylko szyby dzwoniły. Myśmy wszyscy wyszli z domu i schroniliśmy się za ścianą po przeciwnej północnej stronie. Myśmy na to nie zwrócili uwagi ale inni wyliczyli aż 17 pocisków, które były wymierzone w nasze obejście. Dziwne losy! Widzieliśmy jak dolatujący granat przebił słomiany dach na stodole i kilka metrów dalej rozerwał się. Szrapnel, który eksplodował przed ścianą południową zasypał ścianę i ramy okienne lotkami ołowianymi. Jeden granat zapalający eksplodował prawie na dachu stajenki, że jednak dach był mokry po stopniałym śniegu pożaru nie wywołał. W tym czasie oficerowie i pop pojedynczo zwiiali do dworskiego ogrodu, wieczór dopiero wrócili zabrali swe rzeczy i ulokowali się w budynku szkolnym. O tej pory zaczęły się u nas najgorsze przeżycia, wszak we dworze były całe masy wojska, mieli wiele pomieszczeń wolnych i na stoku odwróconym od frontu („pazycji”). Ciągłe nowi przychodzili by brać, bo im wszystko potrzebne było. Po paru dniach wojska austriackie cofnęły się jeszcze blisko o jeden kilometr na przygotowane okopy i tamże utrzymali się do wiosny 1915 roku. Zwyczajnie w godzinach rannych więcej było strzałów od Moskali natomiast po południu znów austriacy więcej ostrzeliwali.

W takich warunkach zaczęliśmy rok 1915.

Rok 1915.

Żimy w dalszym ciągu nie było, tylko deszcze i błoto. Brodziło to żołdactwo po oziminach gdzie popadło. W tym dla nas najgorsze było to, że we dworze była rzeźnia polowa i 30 kuchen polowych, w których w ciągu dnia gotowano zupy zaś wieczorem o zmierzchu podjeżdżały pod front z karmą i żywnością dla tych w okopach i w ogóle. 30 więc kuchen przejeżdżało codziennie przez nasze pole tam i z powrotem. Aby wyżywić tyle wojska zaczęli Moskale rekwirować po wsi bydło, świnie, zboże, siano, słomę itp. U nas też był jeszcze jeden prosiak. Jednym razem wpadło z czterech rabusiów, wyciągnęli z chlewa tego prosiaka i na naszych oczach uśmiercili go na placu, potem wzięli słomę ze stodoły podpalili tę słomę i zabitego prosiaka w ten ogień wrzucili i w ten sposób ze szczeci opalili, na nic się zdał płacz matki i nas obu. Następnie rozpruli, bebechy na miejscu zostawili a resztę zabrali. Mieli rodzice trochę siana z koniczyny na strychu ukryte czyli przywalone różnymi przedmiotami, drzewem oraz zepsutą słomą wydobytą z okopów, które zrobiło jednym czasem jeszcze wojsko austriackie podczas deszczu gdy mieli mokro w dołach to nam w nocy zabrali słomy ze stodoły. Tą słomę potem ojciec wyniósł ze stawisk obsuszył trochę i zawalił tą słomą siano na strychu. Tego siana do końca nie znaleźli pomimo że wiele razy szukali na strychu. To znów Moskale zaczęli dobierać się do kopców ze ziemniakami. Myśmy nie mieli piwnicy też więc mieliśmy ziemniaki w kopcu koło domu, to już rodzice na zmianę co noc pilnowali tego kopca. Zazwyczaj choć się dobierali do kopca jednak jak właściciel wychodził do nich z domu to uciekali. Jednego razu przyszło dwóch do kopca i dobywali się, dostrzegła to matka zbudziła ojca bojąc się ale wyszli do nich i proszą by zaniechali lecz oni nic sobie z tego nie robili. Matka prosiła i płakała nic to jednak nie pomogło i już zaczęli do celty wykładać ziemniaki, wtedy skoczyła matka, pchnęła jednego aż w tył zrobił kozła, to samo z drugim, zaś ziemniaki które mieli na celcie złapała i rozsypała wokół i szybko zbiegli do domu. Moskale wstawszy z ziemi zaczęli wyzywać, przeklinać i jeden z nich rzucił łopatkę za rodzicami lecz oni przymknęli drzwi i uniknęli ciosu. W każdym bądź razie pozbiali tylko te ziemniaki, które były rozsypane i z przekleństwami odeszli. O jednym trzeba wspomnieć, że kobieta więcej mogła się z nimi droczyć aniżeli mężczyzna. Były wypadki, że mężczyzna który im się opierał zostawał silnie pobity a w gorszym wypadku zabranym z domu.

Inne znów zdarzenie miało taki przebieg: było już na kwaterze kilku żołdaków, którzy byli już po kolacji i jedni układali się do spania inni naprawiali mundur czy listy pisali

a mogła być godzina jedenasta w nocy. Nagle puka jakiś natrętnie we drzwi, no trzeba go wpuścić. Gdy wszedł do domu żąda „dawaj kuszać”- matka mówi, że nie ma nic gotowanego; żąda „dawaj kurku”- matka tłumaczy, że nie ma kurku bo żołdacy zabrali, a że usłyszał kury z sieni nie ustąpił. Matka rada nie rada złapała tę kurę, zabiła, przyniosła do kuchni i rzuciła mu pod nogi. Ten bierze kurę i daje matce by mu ją oskubała i obrządziła, matka go nie posłuchała wtedy zaczął sam skubać a matkę wyklina, przezywa i grozi. Gdy skończył wtedy przystawia do matki „dawaj sała” (słoniny) - nie mam sadła, mówi matka - ja posmotram - dawaj klucz do komory. Klucza mu nie dała tylko rzekła: odemknę ci komorę, chodź „smotraj” i poszli. Poszperał po komorze a że nie znalazł przystąpił do matki „dawaj sała” i dalej jej ciosy w piersi, matka się cofa do kuchni i przez kuchnię to samo. Wtedy oboje ojciec i matka zrobili uskok do izby zatrzaskawszy drzwi za sobą zamknęli na klucz. On zaczął się dobijać ale oboje trzymali sobą drzwi. Przy tym równocześnie rodzice naradzili się i matka postanowiła wymknąć się z domu oknem i udać się ze skargą do kapitana, który kwaterował na „Rybówce” u Kordzikowskiego. Żołdak przez drzwi groził, że weźmie siekiere, drzwi wyrąbie i wszystkich nas wyzabija. Poszła wtedy matka, a minawszy dwór podeszła do Rybówki nie zaczepiona przez nikogo a był godzina pierwsza w nocy. Szczęśliwym trafem doszła do domu Kordzikowskiego w chwili kiedy straż odeszła do sąsiedniego domu. Dopiero gdy zaczęła stukać i kołatać posłyszeli biegnąc szybko wołali „poczekaj, poczekaj” a że matka natarczywie pukała nim wartownicy dobiegli to już komandir drzwi otworzył tak, że tylko zdążyli mu zasałutować. Kapitan po wysłuchaniu matki rozkazał swemu zastępcy - też kapitanowi, ubrać się, dał mu drugi swój rewolwer i polecił żeby go na miejscu zastrzelił, jeśli ten żołdak drzwi wywalił lub cokolwiek więcej nabroił. Tenże kapitan przyszedł z matką do domu, gdy zapukali do drzwi, które otworzył jeden z żołdatów wszedł do kuchni i zapytał „katory eto” a matka wskazała. Wszyscy obecni gdy zobaczyli kapitana zerwali się na równe nogi, zaś cały winowajca tylko zawołał „oj durna baba”. Wtedy kapitan dał mu w twarz raz z jednej i drugiej strony, następnie po kolei wypytał wszystkich żołdatów jak to było, wyzapisywał ich. Zeznania jakie złożyli mniej więcej pokrywały się z tym co matka podała. Rozkazał wtedy by wszyscy rano zgłosili się do raportu a głównego sprawcę zabrał ze sobą, tak że ani tej kury nie spróbował. Równocześnie o oznaczonej godzinie kazał zgłosić się rodzicom u komandira.

Nazajutrz żołdacy - świadkowie mieli wyznaczony termin wcześniejszy niż rodzice, więc gdy nadeszła wyznaczona godzina jedenasta prawie ubierali się, a tu wchodzi kapitan,

ten sam co był w nocy. Przybył z tym oświadczeniem, że już rodzice nie muszą nigdzie chodzić, ponieważ wszystko już załatwione i że awanturniczy żołdat został ukarany. Ponadto, żeby ten żołdat nie mógł się mścić uzgodniono zostało z komandirem - tak oświadczył kapitan rodzicom - że na nasz dom dostaniemy na kwaterę oficera „bolnego” (rekonwalescenta do wygojenia się ran). Tak się też stało. Wkrótce przynieśli na noszach chorego, który został ułożony w izbie na łóżku, prócz tego został razem z nami zakwaterowany w kuchni do obsługi chorego ordynans. Niezależnie od tego wojsko otrzymało rozkaz zakazujący wchodzenia do naszego domu, jak również i koło domu się szwędac. Po tym wszystkim mieliśmy przez 6 tygodni spokój.

Działania wojenne na froncie - chociaż zimy nie było ciężkiej zimały. W niektórych dniach na pewnych odcinkach frontu powstawała silna strzelanina godzinę lub dwie, poczem ucichło, za parę godzin znów na innym odcinku odbywała się taka strzelanina.

Oдноśnie linii frontu to przedstawiał się następująco. Front przebiegał przez Biecz i Jasło (w których byli Rosjanie), tak samo przez Gorlice. W Gorlicach było ostre załamanie bo w Bystrej byli Austriacy, dalej front przebiegał przez Mszankę, Łużną koło Moszczenicy, przez Staszkówkę, róg Zborowic i znów ostre załamanie, następnie przez Ostruszę, Rzepiennik, Jodłówkę i tak dalej. Tarnów i Tuchów, Gromnik, Ciężkowice, Bobowa, Wola Łużańska obejmowali Austriacy. Nawet Austryjakom pociągi dochodziły tak do Woli Łużańskiej i Ciężkowic.

Gdy się już kończył okres rekonwalescencji rannego oficera tenże poradził rodzicom by ziemniaki z kopca wydostali i zakopali gdzieś w dół, tylko w takim miejscu by woda nie podeszła. Nawet zboże kazał zakopać i zamaskować bo gdy on odejdzie przyjdą inni i jeszcze inni i mogą wszystko zabrać, a on nie ustrzeż ani nie obroni. Dobry był człowiek. Uśłuchawszy więc jego rady, nazajutrz po jego odejściu ojciec wykopał dół w izbie pod łóżkiem ziemniaki z kopca znieśli do dołu, na tym położyli podłogę i polepili gliną równając z gliną w izbie (podłogi przecież nie było). Na zboże wykopano dół pod szopą przy stodole, tamże wstawiono kufer i półtora korca żyta tam umieszczono. Przykryto to deskami, śmieciami i czym nie bądź. Słoninę z małą beczułką zakopali obłożywszy ceratą w gnoju. Ledwo z tym się uporali już zaczęli przychodzić żołdacy co dzień. Aż pewnego razu przyszło czterech kowali, jakoś im kwatera u nas odpowiadała więc zajęli ją na stałe i oni nikogo więcej nie puszczali z żołnierzy do domu. Oni znów prawie do wiosny utrzymywali się. Pamiętam ich nazwiska: Słiłota, Kołodziażny, Aksenty Jaszenko i Żyd Aron Boryt. Jako kowale codziennie szli do pracy do kuźni do brata matki Andrzeja Zygałdy. Z nimi jeszcze

można było wytrzymać chociaż różnie bywało. Kowal Kołodziażny umyślił sobie brata Jaśka bawić w ten sposób, że wyrzucał go w górę pod sufit później łapał. Brat bał się tego i płakał, krzyczał a ten tam więcej i to tak natarczywie, że gdy on nadchodził musieli rodzice brać Jaśka na ręce i bronić go. Nie wiadomo jaki miał w tym cel. Z drugim, Jaszenką ja miałem zatarg. Codziennie po kolei jeden z nich przychodził od pracy wcześniej aby przygotował im wszystkim obiad. Pewnego razu tenże Jaszenko gotuje obiad na kuchni a ja jak dziecko, że kuchnia była rozpalona rzuciłem na blachę nie zaslonioną garnkami bobu. Gdy mi zaczął bób pryskać, pękać to ja stałem z kociubą i ściągałem ten bób upieczony. Jednym razem silniej jakoś pchnąłem kociubą za bobem uderzyłem w garnek (żelazniak) w którym on gotował strawę i wywaliłem na kuchnię całą zawartość garnka. Ten się wówczas rozgniewał, jakby się wściekł. Skoczył do mnie, gdzieś mnie uderzył, ja w płacz. Poczem skoczył, ubrał się w mundur i pas, wtedy wydobyl z futerału rewolwer, odbezpieczył go i mierzy do mnie przygotowany do strzału. Nadeszła matka na mój i brata płacz a gdy się dowiedziała o co chodzi, perswaduje mu ale to na nic, tylko chce mnie strzelać. Matka widząc, że trudno z nim poradzić, powiedziała mu że wszystkim da swój obiad, że zabije kurku i wszystko sama ugotuje. Powoli trochę się uspokoił i w końcu wściekły wyszedł z domu. Matka tymczasem gotowała ten obiad. Gdy wszyscy nadeszli to tyle, że musieli około pół godziny jeszcze poczekać. Nie było im to do humoru ale trochę pokrzyczeli na niego gdy wrócił i dalej był taki rozwścieczony. Od tego czasu do końca zły już pracował.

Jest już środa popielcowa, daty nie pamiętam, słyszymy do domu jakieś głosy, świst, jęk w powietrzu i na raz ogromny wybuch, dym, kurz koło szkoły. Był to pierwszy pocisk ciężkiego kalibru z większego działa umieszczonego na wagonie na szynach kolejowych ze stacji w Bobowej. Pocisk trafił w piwnicę vis a vis szkoły. Chociaż w odległości przez drogę to jednak szkoła dużo ucierpiała. Zniszczony został dach, okna drzwi i ściany uszkodzone. A tamże w szkole mieścił się główny sztab, który po tym wypadku przeniósł się do Rozembarku (dziś Rożnowice).

Przyszedł 18 marca. Moskale przeliczyli się, przynajmniej takie były pogłoski. Miały to być imieniny cesarza austriackiego Józefa, wobec tego Austrijacy popijali, wtedy wnet z rana powstała tak strzelania jakiej dotąd nie było. To Moskale wyszli z okopów i poszli do szturm na okopy austriackie. Jakoś wtedy było coś śniegu to nawet od naszego domu widać było całe linie żołdatów jak podchodzili do okopów austriackich. Cóż jednak z tego, kiedy Austrijacy przywitani ich takim ogniem, że mało który wrócił tylko zostali leżeć na

tym śniegu zabici. Leżeli dość długo a że raptem zrobiła się wiosna i ciepło zaczął się robić rozkład ciał, wysłali więc Austrijacy parlamentariuszy do dowództwa rosyjskiego o zawieszenie działań na 3 godziny w celu uprzątnięcia trupów z pola między obu liniami. To więc zostało uzgodnione i załatwione.

Z nastaniem cieplejszej pory zaczęły się pojawiać austrijackie samoloty obserwacyjne, które ciągle przy sprzyjającej pogodzie patrolowały z góry nad Turzą i w ogóle na tyłach rosyjskich. Upatrzone cele wskazane bańkami świecącymi artyleria austriacka niszczyła z miejsca. Zaczęły się wtedy pożary budynków w Turzy. Zniszczono wtedy na brzegu kilka domów: na polach - Stępień, we wsi - stodoła Markowiczów, Serafina, Polowej Krystyny, Kajtana. Częściej też zaczęły padać pociski ciężkiego kalibru z Bobowej. Jeden z nich zmiotł z powierzchni organistówkę, jeden padł tuż koło nowego kościoła do stawu, więcej ich jednak przechodziło za Markowiczów i Wędrychowiczów a były one kierowane na kościół. Powodem było to, że prawosławni Moskale chcieli Wielkanoc urządzić w nowym kościele, chociaż był bez okien i drzwi, postanowili też go podwieźć i wyrównać ziemią podłogę. Włożyli w to masę roboty, weszło tam metrów a metrów kubicznych ziemi. Tam ich setki co dzień pracowało. Aeroplany to zaobserwowały dlatego tam tyle ciężkich kul było wymierzone. Skutkiem czego musieli Moskale odstąpić od kościoła i Wielkanoc urządzili sobie na młynku w Majchrowej stodole.

Oprócz obserwacji z aeroplanów z góry (2 ich tylko latało koło nas) chodziły też i zwiady austriackie nocami. U nas dwa razy byli pod oknami. Zapukali w nocy do okna i pytali po rusku: „Soldaty je?” i odchodzili. Jednego razu rodzice wyszli za nimi żeby ich puścić a oni śmiejąc się oddalali się od domu i zciszonym głosem rozmawiali po austriacku. Potem dochodziły słuchy, że oni stale byli w kontakcie z księdzem Majewiczem a między naszymi ludźmi szeptem podawano, że tu już nie długo będzie panowania moskiewskiego. Nie wyszło to jednak księdzu na dobre, gdzieś to zostało wyszczekane przez kogoś do Moskali, niezwłocznie zabrali go i wywieźli w nieznane. Powstał wtedy krzyk i lament co nie miara. Zabrano go przed samą Wielkanocą.

Kiedy już wiosna zaczęła się zbliżać skądś tam ojciec dowiedział się że po wsi krąży kulawy koń wojskowy, tyle więc polował za nim, że go schwycił i przyprowadził do stajni. Miejsce było gdyż jedną krowę nam zarekwirowali, druga pozostała była nie bardzo dobra, to coś tam zapłacił Moskałom - rzeźnikom i wymienił ją na rzeź na krowę odpowiednią od Wszółka Ludwika z tą tylko wadą że była „kopka”. Chcąc ją wydoić to najpierw trzeba było jej przednią nogę „zwitkować”, zaś tylne nogi spętać powrozem. Mimo, że stała na trzech

spętanych potrafiła nie raz kopnąć silnie i wysoko (np. w pierś) lub mleko rozlać. Mleka dawała tyle jak żadna potem. Inna rzecz, że odżywiona była nie byle czym, bowiem kuchnie polowe, które wracały z „pozycji” miały jeszcze w kotłach sporo zupy. Te kotły były opróżniane na ziemię przy studni, myte i następnie napełniane wodą na dzień następny. Wołali więc kucharze „gazda pobieraj sibia zup”, całe cebry można było dostać i to z mięsem, krupy, ziemniaki kapusta. Tą zupą z mięsem była krowa pojona, mięso też jadała. Upała się więc i doła rekordowo. Później wśród lata miała paszy pod dostatkiem na dworskim i lucernę jeszcze dostawała. Musiała matka wtedy codziennie masło robić, tyle było i śmietany.

Jak już artyleria austriacka zaczęła likwidować wcześniejsze cele, na tyłach na Brzeziu część dział rosyjskich też zniszczono, wtedy Rosjanie pozostałe działa przesunęli w nasze sąsiedztwo na pola Burkota, Pierza i Hudzika przygotowując przedtem teren w ten sposób, że wycinali świerki i jodły w lasach, przywozili je nocą na pole. W dzień zaś robili dziury w ziemi i stawiali te drzewa a były wysokie na 5 - 7 metrów, robili w ten sposób sztuczny las. Gdy to było gotowe przywieźli i osadzili działa, a było ich cztery. Niezbyt wiele się nimi posługiwali, dochodziły bowiem ich pociski tylko do linii frontowej austriackiej, na tyły nie miały już zasięgu. W związku z tym kowale, którzy u nas kwaterowali musieli nas opuścić - widocznie był taki rozkaz od zwierzchników, a u nas rozkwaterowali się koniarze z końmi od artylerii, było 5 koni na boisku i pięciu woźniców w domu.

Że już przyszedł czas ciepły, wiosenny toteż niektórzy gospodarze z lękiem ale zaczęli wychodzić do pracy w polu, niektórzy nocą robili. Ojca też zaczęło podrywać do roboty koniem, choć kulał ale trzeba było coś popróbować. Zmówili się więc ze Stępiem (kolegą) razem sparowali konie, tym bardziej, że Stępień miał narzędzia a ojciec ledwo dopiero uprzęż na konia skompletował. Zatem pewnego kwietniowego dnia poszedł ojciec z koniem do Stępiń do roboty, a bo tam koło „paryji” może Austriacy nie dojrzą. Zaczęli orać, wtedy do nich na pole zaczęli przychodzić żołdacy podpatrywać jak to robią u nas a jak w Rosji robią i dyskutowali przy tym. Widocznie zauważyli to Austriacy przez lornety, jak więc zacznie artyleria kropić po polu, że ledwie zbiegli z końmi do paryji, potem chyłkiem paryją ku domowi. Artyleria bije dalej, Stępień swego konia wprowadził na boisko, ojciec znów ze swoim koniem stanął za ścianą, w zaułku tam jeszcze zasłonił się jakimiś drzwiami, a pociski biją w budynek, już na boisku kwiczy koń Stępnia zraniony i stodoła już się pali. Wtedy ojciec sam pełza do paryji z powrotem i konia ciągnie za sobą

a kule tylko świstają koło uszu. Do paryji wprawdzie nie było daleko, może 15 - 20 metrów. Wówczas gdy już był w paryji to już i dom się palił, zaś artyleria wciąż waliła, a jakimukolwiek ratowaniu mienia nie było mowy, wszystko się spaliło. Ojciec z koniem paryją zaszedł aż do rzeki ku Staszkówce, dalej koło rzeki aż ku Mrukowi w Moszczenicy poczem przez „Grabie” ku Zygałłowi i drogą do domu. Trzeba przyznać, że miał szczęście że wyszedł cało. Po tym wydarzeniu robił sobie ale wieczór i wcześniej rano. Gdy raz posiał bobiku i chciał dokończyć, pobronować to już pocisk eksplodował opodal i ojciec musiał zwiewać.

Wymienić jeszcze należy, że z budynków dworskich ani jeden nie pozostał, ze względu na to, że 30 kuchen paliło drzewem ze wszystkich dachów, z mieszkalnego: podłogi, drzwi i okna - wszystko zostało spalone.

Pod koniec kwietnia zauważono dwie zmiany na froncie. Codzienne były już obserwacje z aeroplanów, nadto nad Bystrą zawisł na linie balon z obserwatorami. Już i Rosjanie mówili, że austryjcom przysły posiłki, a najgorsze dla nich było to że Germanie też są, bali się ich bo to „sukinsyny”. Wtedy artyleria austrijacka różnego kalibru, w tym ciężkiego zaczęła bić po okopach ruskich, poczynając od Zborowic wzdłuż linii przez Staszkówkę a kończąc na Łużnej i znów od początku, przez szereg dni i po tyłach również na spostrzeżone cele. W tym też czasie zabity został koło chlewa u Szczurby przy kościele stary „Wantuszek”. U Ziewińskiego ostrzelany został dom a w nim sam Ziewiński Antek dostał kulę lub odłamek w rękę lewą, którą postradał, syn jego Leon został zraniony w dłoń z czego pozostał mu średni palec sztywny. U „Dzianowej” (Mrukowej Janowej) syn Leon dostał lotkę ołowianą w brzuch. Ostatni wymienieni, choć cywile zostali odtransportowani do lazaretu polowego w Rozembarku.

W tym opisie wymieniam to co się działo i widziało własnymi oczyma w naszym widnokregu, o tym zaś co się działo na dalszych frontach to dopiero po wojnie - nie wojnie tylko przejściu frontu można się było dowiedzieć.

2 maja - historyczny dzień - przełamanie frontu rosyjskiego w gorlickim. Od wczesnego rana śliczna pogoda a od godziny 7-mej zawrzało na froncie. Cała linia rosyjska była w ogniu artyleryjskim, już trudno było rozróżnić poszczególne detonacje chyba tylko ciężkiego kalibru. Zaczynają i koło nas kule świszcząć, nie ma co trzeba uciekać daleko, nie było czasu szukać, ojciec zabrał konia matka krowę i cielę a nam kazali iść za sobą, ukryliśmy się ze wszystkim w lamusach we dworze poczem ojciec wrócił strzec domu a matka z nami i z bydłem została. Niedługo za nami zaczęli przychodzić inni sąsiedzi i dalsi

z dziećmi i byłem, że w niedługim czasie zrobiło się nawet ciasno. Ku południowi pogodny dzień był a zrobiło się ciemno od dymu, popiołu który detonacje wyrzuciły w powietrze a wiatr południowy przynosił do Turzy ze Staszkówki. W południe dało się nam z lamusów zauważyć, że Moskale już na dobre uciekają. Uciekają kucharze, artyleria i to nawet szybko. W tej ofensywie austriackiej artyleria huraganowym ogniem biła od godziny 7-mej do 10-tej, następnie Austriacy wyszli do szturmów z okopów ale nie było już wiele z kim się potykać bo prawie wszystko legło. Ilość uciekających cośmy widzieli to był nawet mały procent. Przeważająca większość legła na polu bitwy. Widzieliśmy uciekających, rannych, pokrwawionych a wiele który miał siłę to i tak uciekał, jedni prędzej inni wolniej i ociężale.

Nasi w lamusie z początku modlili się, śpiewali półgłosem i lamentowali, gdy zaś zobaczyli, że wróg ucieka już zaczęli się cieszyć. Znam jeden incydent z tego momentu: starszy gospodarz Kieron Wojciech złożył ręce do góry i zawołał: „Boże daj nam teraz cesarza, cesarza nam tylko trzeba”. Na to nasza matka odpowiada mu: „Wojciechu co wy mówicie, nie trzeba nam cesarza tylko króla polskiego”. Z tego wywiązała się polemika, którą przerwało nowe zjawisko na oczach wszystkich. Oto na przeciwnym wzgórzu powyżej Kieronia i Wszółka „Dajdoza” ukazała się cała linia żołdatów, którzy szybko zaczęli się okopywać a następnie ostrzeliwać. Nawet jeden strzał był skierowany - a może nawet więcej - w wjazd odkryty do lamusa, wtedy momentalnie wszyscy pochowali się w środku za mury, lecz po niedługim zaś czasie idąc za odgłosem detonacji widzimy, że już artyleria austriacka bije po tych okopach, szybko więc musieli stamtąd zwiewać. Znowu inny widok: widzimy, że od karczmiśka biegnie dwóch żołnierzy na przełaj ku Antoniowej Jędrusiakowej, dobiegłszy do budynków widzieliśmy jak jeden zapalnikami podpalił słomiany dach. Byli to już austriacy, a raczej Niemcy. Wówczas już się w powietrzu uspokoiło, już strzały zamilkły, Moskale już nie ma nigdzie, no to wracamy do domy. Przyszedłszy ku domowi, gdyśmy się rozejrzeli po horyzoncie, gdzie oko skierował to widać było dym unoszący się z dopalających się zgliszczy po pożarze w Moszczenicy, w Staszkówce, w Turzy i dalej w innych wioskach.

Jeszcze przed zmierzchem naraz widzimy, że biegnie czterech z pół ku Rapałom, zbliżyli się ku domowi i widać było jak Rapałowie uklękli przed nimi. Wtedy rodzice między sobą mówili „wiesz, chcą im dom podpalić i oni proszą żeby nie podpalali. A jeśli do nas przyjdą to ja bym im głowę uciął” i natychmiast przygotowują siekier, widły żelazne, kosę by mieć pod ręką i umawiają się: „ale najpierw będziemy prosić by nas zostawili”. Nie upłynęło tyle czasu co by pacierz zmówił zbliża się do nas naraz dwóch, ale widzimy, że

to w innych mundurach. Podeszli do nas gdyśmy wszyscy stali na podwórzu, śmieją się i witają się z nami. Byli to Germanie, jeden z nich był widocznie Polakiem, bo rozmawiał po polsku. Popytał się więc jak dawno Moskale stąd odeszli i w którym kierunku. Pożegnawszy się poszli dalej. Za chwilę znów przyszło innych dwóch, ci nie znali języka polskiego, poszwargotali pokazując „Rus, gdzie Rus?”. Trudno było się z nimi dogadać, odchodzili już gdy matka przy ostatnim świetle dnia zauważyła na horyzoncie za-Kowalskim jak grupa Moskali okopywała się i dolatywali chyłkiem. Wtedy matka doskoczyła do ku Niemcom, zatrzymała ich żeby dalej nie szli i pokazała im Moskali, gdy ich zobaczyli poklepalili ją po ramieniu i powiedzieli „gut, gut”, następnie zawrócili ku Staszkówce. Może za pół godziny, już to było pod wieczór idą Niemcy od Staszkówki jeden za drugim może ze dwie godziny. Później co się działo to nie wiemy. Kilku wtedy zatrzymało się w domu na nocleg - tylko kazali sobie dać świeżej słomy a nie takiej na której spali Moskale. Po ułożeniu wszyscy spaliśmy twardym snem. Rano w następnym dniu gdy rodzice się zbudzili - był już dzień - zauważyli pełno śladów wskazujących na to że wojsko spało w stodole, w stajni, pod szopą, w sieni a kto ich wpuścił nie wiadomo, spali też na podwórku koło ścian ale tylko kilku jeszcze było koło domu a i oni z tymi co spali w domu szybko się usunęli. W ten wieczór wojska austriackie zajęły linię po „wieś” w Turzy, Moskale zatrzymali się na „Załęscu”. Z nastaniem jednak dnia nie stawiając oporu wycofywali się dalej. Tego rana na przełaj przez nasze pole przejechała artyleria austriacka w kierunku Staszkówki i Lasia, wyjechawszy na dział zajęli stanowiska (9 dział) oddali po kilka strzałów na Rzepiennik Suchy i Sitnicę, poczym zwinęli działa i pojechali na przód. Po tej ofensywie front bardzo szybko się oddalił, gdyż Rosjanie nie mieli sił na stawianie oporu.

Po odejściu frontu ludność nasza już spokojnie przystąpiła do prac polowych. Z obsianiem i zasadzeniem pól nie była łatwa sprawa. Wyrabowana wieś, nie było więc czem a co gorsze gdzie nabyć. Była bieranina, latanina, brak ziemniaków, owsa, bobu, grochu, słomy, siana, koni, chłopów, artykułów pierwszej potrzeby. W niektóre artykuły można się było zaopatrzyć tylko w Bobowej lub w Grybowie. Też w wiosny ojciec sparował konia z Mrukiem Tomaszem, tylko że w pracach polowych lepiej orientował się ojciec niż sprzężnik toteż ojciec szedł codziennie do prac polowych. Ledwo sobie obrobił i Tomasza wszyscy wokoło i dalej chcieli go brać do roboty. Gdy wieczór ojciec wracał z pracy to codziennie w domu czekało na niego kilka osób z prośbą o robotę w polu, przy tym między sobą kłócili się, płakali, każdy chciał być pierwszy i ważniejszy. Pamiętam, że w tedy

ojciec pobierał za jedną dniówkę pracy 6 „reńskich” dwanaście koron to jest do połowy ze sprzężnikiem, sam jako taki zarabiał 6 koron za dzień.

Matka zajęta była pracą w obejściu. Ja w tym pomagałem, że krowę pasłem na swoim ogrodzie lub na dworskim polu nie obsianym. Trawy było w brud. Siano, koniczyna, które były ukryte na strychu teraz przydało się dla konia i nie tylko dla konia bo gdy się ludzie dowiedzieli o tym, to z daleka przychodzili, płacili każdą cenę i prosili by im odstąpić dla wycielonej krowy, dla chorego bydła, więc bardzo oszczędnie nim szafowano.

Te gospodarstwa, które były spalone szybko przystąpiły do odbudowywania. Władze austriackie częściowo ich wspomagały płacąc odszkodowanie oraz w przydzielonych materiałach. Trzeba było to wozić, z tego ojciec miał zmartwienie gdyż koń mógł więcej chodzić po gruncie miękkim aniżeli po twardej drodze. Drugie zmartwienie to że nie miał co palić, a był wielkim palaczem fajki zapiekanej. Tak ono palenie wyglądało, że do fajki glinianej wypalanej jak cegła, nakładano tytoń, zapluto ten tytoń ubijając wkładano w ogień w którym się fajka rozgrzała nie raz do czerwoności, wtedy zaczęło się pykanie. Jakież to z takiej fajki był dym gryzący, że nie sposób było znieść a nawet kaszleć musieli nie palący i dzieci. Matka to albo wychodziła albo drzwi otwierała żeby przewietrzyć izbę. Jeśli to było podczas prac polowych u kogokolwiek będąc w obejściu na śniadanie, obiad czy podwieczorek ojciec wracając do pracy zawsze zabierał ze sobą kiczarkę lub wiecheć słomy by później przy pracy zapalić ogień w polu i upiec fajkę.

Ponieważ nigdzie nie można było nabyć tytoniu, gdzieś nabył ojciec roślin tytoniowych „bakon” posadził tego na grządkach i pielęgnował.

[Pod koniec czerwca odezwali się Niemcy ze dworu przebywający w Szczawnicy, pragnęli dostać się do Turzy ale nie mieli za co, byli w zupełnej nędzy, pisząc o tym do kierownika szkoły Jędrusiaka Mikołaja. Wtedy Jędrusiak sprzedał stojącą koniczynę gotową do koszenia, dalej wynajął na pastwiska zarosłe trawą pola, a uzyskana w ten sposób gotówkę przesłał właścicielom. Wówczas dopiero wrócili. Nie mieli jednak gdzie mieszkać. Szukając, kto by ich przyjął pomagał im w tym kierownik szkoły i wójt Brataniec. Byli i u nas ale rodzice jakoś się wytłumaczyli, ostatecznie zajęli duży pokój u Firlita. Wtedy sami sprzedawali pastwiska, siano, owoce z ogrodu - już prędzej mieli czym żyć. Władze powiatowe wydawały im cukier, który sprzedawali ludności na kartki i w ten sposób przepędzili pierwszą zimę po powrocie.]

W lipcu wybrał się ojciec ze mną do Tuchowa na odpust do klasztoru Redemptorystów, licząc się z tym, że nie podołam zrobić pieszo tyle drogi zaplanował że

pójdziemy do Ciężkowic na pociąg do Tuchowa. Tymczasem kolej nie przyjęła pątników na pociąg, w tym wypadku zmuszeni zostaliśmy iść pieszo z dużym nałożeniem drogi. Wolno idąc doszliśmy. Widziałem tam masy ludzi, te śpiewy wokół klasztoru, cizby wielki, kramów i dziadów kalek dużo. Nocleg mieliśmy u organisty. W drugim dniu nie wiele co oglądałem bowiem ojciec zostawiał mnie na ogrodzie organisty a sam poszedł na nabożeństwo przez wzgląd na wielkie cizby. Popołudniem wyruszyliśmy z powrotem, doszliśmy do Lubaszowej, jakaś furmanka z Turzy czekała na pątników, z tym furmanem ojciec dogadał się że nas wezmą wtedy zaczekaliśmy aż się wszyscy zeszli, wyjechaliśmy okrezną drogą przez Gromnik i Rzepienniki.

W tym to czasie gruchnęła po wsi wiadomość, że ksiądz wrócił ale jest wielce osłabiony. Następnie niejasno przychodziły szept, gdyż publicznie ksiądz nie opowiadał co przechodził. Byli jednak tacy co widzieli, że miał plecy całe sine od bicia. Dało się słyszeć, że we dwóch z innym księdzem byli prowadzeni i maltretowani a front ich doganiał i że gdzieś koło Wisły nasz ksiądz był bardzo osłabiony, w dodatku gdy byli prowadzeni pocisk eksplodował blisko nich, wtedy ksiądz zemdlał i tak ich Moskale zostawili. Ten drugi ksiądz szybko odszukał najbliższą plebanię gdzie został umieszczony. Tam też przeleżał kilka tygodni poważnie złożony chorobą. A gdy przyszedł do siebie dopiero mógł powrócić.

Front już się daleko oddalił, wrogie żołdactwo odeszło, tak więc chwilowo ludzie odetchnęli ale wojna dalej trwała, to też władze austrijackie sięgnęły jeszcze po chłopów. Do wojska poszło ich znowu dużo i młodszych i starszych i konie jeszcze wyszukiwali i brali, znów nowy płacz i lament za odchodzącymi, a że i poczta zaczęła dochodzić przysłyły nowe wieści za okres kilku miesięcy o zabitych i zaginionych jak również przychodzili niezdolni kalecy i inwalidzi. Jeszcze o innych zupełnie słuch zaginął jako że ci a ci dostali się do niewoli

Czas jednak, niech się co chce dzieje, nie stoi w miejscu ale ciągle ulatuje. Tak też nadeszły żniwa i co się okazuje, że mogą się cuda dziać. Bowiem zimy prawie nie było tylko błoto, zasiane oziminy podczas błotnej zimy były zbrodzone butami, końmi, wozami, pociskami i okopami poryte, tak że tylko kępki zboża ocalały, ale cudo jakie urodziwe że trudno było snopka udźwignąć, tak że po omłotach zboża było nie mniej niż w inne lata.

Gorzej zaczęło się tylko robić z nabyciem odzieży, butów oraz innych artykułów. Do miasta nie bardzo było się po co udawać. Gorlice miasto powiatowe zniszczone zostało działaniami wojennymi w większej połowie, gdzie niektóra kamienica ocalała. Kościół

zdruzgotany, wieża zniszczona a jedyny dzwon jednym ramieniem wiszący u szczątków wieży. Most na Ropie został tylko ocalały.

Do pociągów nie dopuszczano ludności cywilnej bo służyły wyłącznie wojsku.

Tak i nadszedł wrzesień, rozpoczyna się nauka w szkole, tymczasem budynek szkolny zniszczony. W starym budynku szkolnym jest jedna sala bez ławek, bez stoły jedynie tablica w koncie stała. Brat także w tym roku rozpoczynał naukę szkolną w pierwszej klasie. Gdyśmy się poschodzili na pierwszą lekcję to tylko niektórzy z uczniów mieli stare książki, zeszytów też nie było. Podczas lekcji tośmy wszyscy stali koło ścian, gdy zaś przyszło coś napisać to w przykłąku siedząc na piętach i pisząc na kolanach. Po jakimś czasie dopiero wstawiono nowe ławki, także stół, krzesło i szafa przybyła. Nauka odbywała się dla starszych klas zbiorowo 3, 4, 5 i 6 klasa trwała 3 godziny, zaś dla 1-szej i 2-giej klasy lekcje były oddzielnie po jednej godzinie (jako, że dzieci było dużo). Nauczycieli było dwoje samo kierownictwo Jędrusiakowie. Treścią w książkach była Austria, Węgry, Czechy i Słowacja.

Lekcje lekcjami, zaś przed lekcjami względnie po lekcjach, gdy się młodzież zebrała to jedyną zabawą była wojna, momentalnie tworzyły się dwa obozy i dalejże na przeciwnika z gruzłami, kamieniami oraz kawałkami papy, mimo że było surowo zabronione. Innej zabawy nikt nie znał ani nas nie uczono. Ustępu żadnego przy szkole nie było, jeśli była pauza to tylko dwie minuty, wcześniej wychodziły dziewczęta a później chłopcy zaś załatwienie potrzeb fizjologicznych zabroniono nam tylko przed frontem szkoły i koło szopy prowizorycznej (kościół). Chłopcy przeważnie szli poza dom Pietrysi i tam moczyli po tylnej ścianie i po dachu z tym który wyżej dostanie. Gdyśmy wychodzili na pauzę, to żeśmy zawsze jeszcze spotykali dziewczęta załatwiające się ale nikogo to nie dziwiło, że żadna nie posiadała majtek. W ogóle cały rodzaj żeński niemal do drugiej wojny światowej nie nosił majtek z wyjątkiem nie licznych.

Jesienią pewnego razu idę do szkoły a tu na drogą na przeciw mnie zbliża się jakiś mężczyzna w mundurze nieznanym z błyszczącymi się gwiazdkami, już z daleka staram się go ominąć a gdy się zbliżył przystanął i spytał mnie dokąd idę i czego go omijam wchodząc w kałuże w drodze? Czy go poznaję? Czy mama i tata zdrowi, czy są w domu? Wtedy dopiero przypomniałem, że jest to wujek - brat matki Józef Zygałło. Po roku czasu dostał urlop więc przyjechał w rodzinne strony. Było się czemu nasłuchać gdy zaczął o swoich przeżyciach opowiadać. Służył w artylerii ciężkiej jako zawiadowca w stopniu plutonowego. On był w zamku Zakliczyńskim, jego bateria waliła w most Moskali na

chodzić przez 3 dni. Wracając wieczór do domu taka straszna woń od niego biła że musiał zaraz wyjść z domu i zdjąć wszystkie szaty z siebie i przynajmniej rozwiesić pod szopą, obmyć się oraz przebrać w inną odzież. Mimo to gdy się nabiżył smród czuć było. Opowiadał jak dużo tych trupów było w okopach, po lasach a ile było porozrzucanych części ciała. Że słuchać było trudno.

Rok 1916. Ja liczę 9 lat.

Już od początku roku w ciągu zimy moim zajęciem była tylko nauka szkolna i nauka religii bowiem ksiądz zapowiedział na religii że ja wraz z innymi mam przystąpić do I Komunii Świętej. Wtedy to ze stołu nie były zbierane w izbie katechizm i Pismo Św. Były też i „kantyczki” z pieśniami religijnymi, przy tym jeszcze uczyłem się ministrantury. Najwięcej przepadałem za kalendarzami choćby starymi, a takie w niektórych domach znajdowały się. Do tego wszystkiego musiałem dawać lekcje bratu i od sąsiada Hudzika przychodziły Zośka i Monka wszyscy z I klasy, a ponieważ one nie miały nikogo w domu piśmiennego ode mnie żądano bym i przyuczał i pomagał w wypracowaniach domowych. Po gotowe wypracowania z mojej klasy 3-ciej przychodziła też, jeśli były trudniejsze, od Pierza Ludwina.

Przyszły zapusty zwłaszcza „ostatki”. W niedzielę ojciec zabrał nas obu z bratem do potoka do ciotki. Wtedy goszczono nas słoniną gotowaną i herbatą, dorośli jeszcze popijali rum, nam też trochę zakropiono herbatę. Na drugi dzień w ciągu dnia ojciec końmi coś woził do Jarkowej, drzewo czy coś podobnego. Po skończonym dniu wieczór obchodzono zapusty, nawet matkę zaproszono na wieczór. We wtorek wnet po śniadaniu przyszła do nas ciotka z potoka, przyniosła rumu, głowę cukru i dla nas cukierków. Prawie mieli zacząć gościnność weszła do domu Hudzikowa i zaprasza do siebie na zapust rodziców wraz z ciotką, zaczęli się trochę wymawiać lecz ona skoczyła i zalała wodą ogień pod kuchnią gdzie miała się gotować woda na herbatę. Wtedy pośmiali się a dając się namówić poszli. Koło południa wpada matka do domu dała mi pieniądze i kazała iść do „Heszka” do Staszkówki po rum. Poszedłem, dzień był ciepły, gdzieniegdzie tylko był śnieg, drogę znałem bo nie raz tamtędy przechodziłem do stryja Jakuba. Kupiwszy ten rum zaniósłem im po drodze do Hudzika. Było tam już wesoło i gwarno, mnie też ugoszczono słoniną z chlebem i herbatą. Po jakimś czasie matka wyprowadziła mnie na pole dała znów pieniądze i kazała jeszcze raz iść do Heszka po wódkę (okowitę) i rum, tym razem kazała

mi już przynieść do domu. Wracając do domu z napełnionymi flaszками po drodze wiem, że z obu flaszek popróbowiałem aże mnie potem bardzo piekło w ustach i nie miałem więcej ochoty próbować. Przed wieczorem wróciłem do domu, za chwilę przyszła matka, zapaliła pod kuchnią i zaczęła szybko krzątać się po izbie, bo znów wszyscy zapustnicy od Hudzika mieli znów do nas przyjść. Także i wkrótce przybyli z ojcem. Pozapustowali jeszcze trochę ale nie zbyt długo bo ciotka upierała się by wracać do domu a już była noc. Na tym się zapust zakończył.

Jesienią ubiegłego roku władze austriackie przeprowadziły spi szkód jakie poniosły gospodarstwa przez działania wojenne. Po zatwierdzeniu których wypłacano ludziom odszkodowania w wysokości około 25% wartości szkód. Rodzice np. otrzymali 630 koron. 7
był to Niezależnie od tego przychodziło zboże, używana odzież, mydło, nafta na kartki, marmolada itp. Na kartki wydawane były: cukier przez Niemczyckiego, nafta przez podwójciego Ziewińskiego inne przez wójta Jaroche. J

Nadchodziła wiosna, w Palmową Niedzielę jestem w kościele na sumie w tym momencie gdy ludzie zaczęli wychodzić z kościoła powietrzem wstrząsnęła ogłuszająca detonacja że omal nie upadli ludzie, była to wywołana eksplozja niewypału ciężkiego pocisku artyleryjskiego na polu Jędrusiaka, którą spowodowali saperzy austriacy. Było tych niewypałów kilka inne dały się zabrać to je zabrali. Jeden natomiast niewypał po dziś dzień leży w ziemi pod szopą u Jędrusiaka (Kamieniarczyka).

Na cele wojenne władze zaczęły rekwirować dzwony po kościołach pewnego razu byłem wtenczas w szkole gdy przyjechało wojsko po dzwony, jeden tylko zabrali, sygnaturkę i drugi dzwon jakoś udało się księdzu wyreklamować. Potem żandarmeria rekwirowała po domach mosiężne, miedziane przedmioty jak moździerze, żelazko do prasowania, klamki do drzwi itp.

Gdy już zrobiło się ciepło w maju zarządził ksiądz naukę religii codziennie jedną godzinę przed południem ze względu na to że większa grupa dzieci miała w tym roku przystąpić do I-szej Komunii Świętej także i ja w tym byłem. Uroczystość ta odbyła się 26 czerwca 1916 roku.

Od wczesnej znów wiosny rozpoczął ksiądz prace wykończeniowe nowego kościoła, wstawiono 11 okien witrażowych, wyrównano podłogę i ułożono posadzkę, otynkowano wewnątrz, dokończono fatalnego sklepu i nad chórem. Przygotowano na tyle, że na odpust parafialny 6 sierpnia przeniesiono nabożeństwo do nowego kościoła. Wieża nie była jeszcze wyprowadzona, wykończono ją po wojnie.

✓ We dworze Niemcy wystarli się że w odszkodowaniu dostali materiały do budowy więc wśród lata odbudowali się w rozmiarach znacznie skromniejszych. Dom mieszkalny z drzewa, 4 pokoje, kuchnia, spiżarka, weranda, gumna z drzewa, stajnie tylko murowane. Otrzymali parę koni, dwie krowy oraz magazyny rolnicze, do prac polowych w okresie żniw otrzymali jeńców wojennych do pracy (Moskali). Chcieli jeszcze starym zwyczajem zmusić miejscową ludność do pracy za darmo, ludzie nie poszli, wystarał się więc pan, że żandarmeria zaczęła przymuszać by szli do pracy, nie ulękli się jednak. Służbę też dworską nie mógł dostać ani utrzymać bo nie wynagradzał i źle żywił. Co wyszukali kogo z dalszych stron, przepracował kilka dni gdy się zorientował jak jest to szybko zwiewał. Obciążał więc sąsiadów, że mu służbę buntują, wszystkim się odgrażał. Na rodziców też się odgrażał. Dotąd był w gniewie dopóki czegoś nie potrzebował, gdyż było i tak że była godzina 9-ta to jeszcze nic nie jedli i na obiad nic nie było. Pamiętam, że z płaczem „pani” do nas przyszła żeby ją rodzice w czym mogą wspomogli. Matka dała jej wtedy kosz ziemniaków, kapusty, fasoli, słoniny. Albo taki przypadek, że w nocy służba odeszła, nawet nazajutrz krów nie miał kto podoić, też przyszła i prosiła: ”Mruczek podójdzie nam krowy”. Z drugiej strony złość ją rozsadzała, pamiętam te do matki wypowiedziane słowa: „Zobaczcie Mruczek, że przyjdzie taki czas że z gospodyni z 10-cio morgowego gospodarstwa przyjdziecie do mnie i będziecie prosiła żebym jej pozwoliła krowy wydoić i żeby tym łaskę sobie zrobić”. Było tak zawsze między rodzicami a dworem, że gdy mieli służbę ludzi gniewali się, gdy czegoś im brakło albo pilną pracę wykonać wtedy gniew przysł, grzecznie prosili ale wynagradzać nie chcieli. Jedno tylko pastwisko dla krów można było dostać jako wynagrodzenie za pracę. ✓

Po skończonych wakacjach zaczęła się nauka w szkole. Zmiana nauczycieli. Były kierownik szkoły Jędrusiak wyprowadził się do szkoły w Libuszy. Na jego miejsce przybył cywilny inwalida z wojny, nazywał się Gindrych z Brodów z Wołynia z żoną nauczycielką. On Rusin ona Polka. Dobrzy to byli nauczyciele. Ja im wiele zawdzięczam. On miał nogę przestrzeloną, zdruzgotaną i krótszą. Były kierownik wyjeżdżając z Turzy mnie wypisał z klasy 3 do 5 a ponadto dostałem od niego książki do klasy 5-tej. W dalszym ciągu z nauką dawałem sobie radę a nawet byłem wyróżniany. Niezwyczajność była ta, że stale zmieniali mi się koleżanki i koledzy, również to że wciąż przychodziłem do starszych. Tylko poziom nauki i warunki nie były dostateczne wszak to był okres wojny. Wprawdzie do wakacji przybyła jeszcze jedna sala do nauki lecz dużo tak było że stała pusta ze względu na to że kierowniczką była słabszego zdrowia, nie zawsze mogła prowadzić lekcje, wtedy znów sam

kierownik zbierał do jednej sali razem 3, 4, 5 i 6-tą klasę, które prowadził do południa zaś 1-szą i 2-gą po południu.

Ministranturę, którą się uczyłem miałem już opanowaną, tak już jesienią odważyłem się pójść do zakrystii służyć księdzu do Mszy Św. To już jakby nowy obowiązek, nowe doświadczenia, nowe poznanie kultu religijnego i ludzi. W lekcjach szkolnych mi to nie przeszkadzało o ile nie było pogrzebu czy ślubu. W takich wypadkach spóźniałem się i czasem od nauczyciela otrzymywałem burę.

Wojna trwała w dalszym ciągu daleko od nas, ponieważ można było już prenumerować gazety, matka zaprenumerowała tygodnik „Lud Katolicki”. Z tej gazety wyczytywaliśmy notatki z frontów, z Italii nad rzeką „Izonro”. Później z nad Priawy z Francji, z walk pod Verdeun jak i z rosyjskiego. Smutniejsze było to że do poboru (asenterunku) wzywali rocznik ojca (lat 50) nawet o 2 lata starszych choćby do forszpanów, choćby do służb na tyłach zawsze to jednak było wojsko i była wojna - było więc czemu się martwić. Z pierwszego poboru jeszcze jakoś udało się, że pozostał w domu a ponieważ nabór mężczyzn młodych roczników i starszych prowadzony był przez władze austriackie ojciec obawiał się że zostanie pobrany do wojska. Gdy więc nowe wezwanie otrzymał do poboru wtedy to zmówili się ze Stępnem kolegą i w noc przed poborem postanowili zarzyć w tajemnicy jakichś środków wywołujących chorobę. Choć się nigdy nie przyznali matka domyśliła się że tym środkiem był tytoń czyli wypity wywar z tytoniu (wówczas „bakon”).

W tym czasie moi rodzice zapisali mnie na lekcje nauki języka austriacko-niemieckiego, o które inni rodzice ubiegali się dla swoich dzieci, mając na uwadze że Austria zwycięsko wyjdzie z wojny więc znajomość języka urzędowego byłaby korzystna. Kierownik szkoły Gindrych przyjął nas sześcioro: 3 chłopców i 3 dziewczynki. Razem ze mną lekcje brali: Ziewiński Leon - syn podwójciego i ... Ludwik, z dziewcząt moja koleżanka z klasy Kutaś Maria (dordzionka), Kutaś Julka córka Jana i Helena Korzuch - córka byłego wójta. Za dawane lekcje 1 godzina dziennie nauczycielowi rodzice wynagradzali część w naturze a część w gotówce.

Ojciec mając konia miał wielkie wzięcie do prac polowych bowiem większą połowę koni we wsi zarekwirowano do wojska austriackiego. Gdy więc przyszedł wieczór to po 5, 6 osób czekało na ojca gdy wróci z pracy by go zdobyć w następnym dniu do robót polowych. Jako sprzężników z drugim koniem miał Mruka Tomasza z Nogową, a były też krótkie okresy sprzążki z Wołkowiczką, Burkotową z ugoru, ze Spyrką z sołtystwa.

Dziś nie chce mi się wierzyć, że aż tyle pól musiał obrabiać. To też w okresach robót polowych to go nigdy w domu nie było. W zimie zaś chodził do Staszkówki do „Czarnego Lasu” do ścinki drzew. Wynagrodzeniem za pracę dostawał konary i pniaki. W tych zarobionych konarach ukrywał kawałki dęba jako materiał. Zresztą wszyscy tak postępowali. Gajowym tego lasu był znajomy ojca Łazarek, był on ojcem ojca bratowej czyli żony brata ojca Jakuba Mruka, który mieszkał na ojcowiznie. Bywało że nawet zapraszał na niedzielę do nas do domu tego Łazarka a także jego córkę Apolonię. Zimą też woził ku domowi zarobiony opał.

Rok 1917. Ja liczę lat 10.

Do szkoły uczęszczałem do klasy 5-tej. Ale jaka to była nauka jeżeli w jednej klasie (sali) jednocześnie uczyło się 4 klasy (roczniki), 3, 4, 5 i 6 od godziny 8-mej do 11-tej. Zaś wiosną od 11-tej do 12-stej nauka religii w kościele. Wprawdzie było dwoje nauczycieli (małżeństwo) Gindrychowie, wysiedleńcy z Brodów (z Wołynia). Nauczycielka Polka, wyznania rzymsko-katolickiego, nauczyciel Polak- Rusin: greko-katolik. Nauczycielka nie miała zdrowia, ciągle chorowała więc naukę prowadził mąż.

Pod koniec roku szkolnego nauczyciele wytypowali mnie do powinszowania od szkoły ks. Adolfowi Majewiczowi. Podano mi treść życzenia a do asysty były wyznaczone dwie uczennice: Julia Zygałło i Felicja Jędrusiak. Udali się również z nami na plebanię oboje Gindrychowie. Po złożeniu życzeń obdarowano nas cukierkami i udaliśmy się do domów zaś nauczyciele pozostali na przyjęciu.

W tym to okresie ja prawie codziennie chodziłem usługuwać księdzu do Mszy Św. Wówczas nie było ani kościelnego bo Rojek jako stary zwolnił się, ani organisty też nie było. Z początku było paru starszych ministrantów, którzy wystąpili bo ich ksiądz skrzyczał. Tak że do wszystkich posług pozostałem z bratem Jaśkiem a czasem dochodził Wszołek Staszek i Józek Wędrychowicz.

Ojciec zaczął utyskiwać na zdrowiu. Nie mógł już ciężko w polu pracować.

Rok 1918. Ja mam 11 lat.

Ojciec sprzedał konia. Ja uczęszczęm jeszcze do szkoły do szóstej klasy, jeszcze w dalszym ciągu biorę lekcje języka niemieckiego. Ojciec już nie może pracować w ogóle ale jeszcze chodzi, trochę się leczy. Był do badania u dyrektora szpitala w Gorlicach u lekarza Żuławskiego. Co to za choroba jeszcze nie wiemy. Zaczyna u nas być coraz gorzej, do wszystkich poważniejszych prac wynajmuje się płatnych ludzi. Mija lato, przychodzi jesień. Na świecie powstaje wiele mian. W Rosji w roku 1917 ostaje obalony carat. Cała rodzina carska wymordowana. Władzę obejmuje rewolucja z Kiereńskim na czele. Często słyszy się o Leninie. Największa sensacja następuje w początkach listopada. Austriacko węgierska monarchia rozpada się. Austria i Niemcy przegrały w Rosji walki rewolucyjne. Natomiast otrzymują wolność: Polska, Czechy, Węgry, Jugosławia i Albania.

Jeszcze żołnierze z armii austriackiej nie wszyscy wrócili a na ziemiach Małopolski, byłej Galicji, powstanie ukraińców - pragną zakładać państwo Ukrainę i zajmują wschodnie tereny Małopolski. Stąd nowy nabór żołnierza zwłaszcza młodych mężczyzn, ponieważ powracający z wojny nie poddają się dyscyplinie.

Tej jesieni ja już nie chodzę do szkoły ludowej, również przestałem razem z innymi brać lekcje języka niemieckiego bo po co: język polski jest również językiem urzędowym. Wszyscy niemal mężczyźni noszą na czapkach białe orzełki a już chłopcy to wszyscy.

Tej jesieni odbyła się wielka manifestacja na rynku w Gorlicach i przed gimnazjum. Ja z bratem brałem udział w tej manifestacji do której nas zachęcił ks. A. Majewicz na rannym nabożeństwie. Z Turzy wyjechało kilkanaście furmanek.

W Gorlicach o 11-tej godzinie na rynku zebrane były masy ludzi a przed magistratem przy polowym ołtarzu rozpoczął celebrować sumę ks. A. Majewicz. Kazanie okolicznościowo-polityczne wygłosił ks. Kędra z Łużnej jako prezes Rady Powiatowej w Gorlicach. po nabożeństwie pochód ruszył z orkiestrą i banderą krakusów przed gmach gimnazjum. Tam zostały wygłoszone mowy przez władze cywilne i wojskowe agitujące o wstępowanie w szeregi wojskowe ochotników celem przyduszenia buntu ukraińców.

Muszę jeszcze wrócić do dnia poprzedzającego manifestację gorlicką bowiem i w Turzy przez gońców nagle w sobotę przed wieczorem ks. A. Majewicz, Józef Jędrusiak oraz Grajewski zorganizowali małą manifestację w której przemawiali wyżej wymienieni. Jędrusiak i Grajewski wystąpili w mundurach Hallera, w przerwach śpiewali piosenki

wojskowo-partiotyczne. Na tymże zebraniu ksiądz zaapelował do gospodarzy w Turzy by licznie wzięli udział w manifestacji w Gorlicach. ↴

Przypominam sobie, że wówczas na czele rządu tymczasowego stanął Ignacy Paderewski - pianista i patriota. Wspomnę i o tym, że na konferencji rządów po kapitulacji Austrii i kaizera Wilhelma wolność i suwerenność zainicjował prezydent amerykański Woodrow Wilson, poparł i w czyn wprowadził Wł. I. Lenin.

Toczą się walki o Lwów, uczniowie szkół bronią Lwowa dużo ich ginie, otrzymują nazwę „Orląt Lwowskich”. W tym czasie powstaje nabór rekruta do wojska. Naczelnik Józef Piłsudski przygotowuje z Petlurą napaść na bolszewików.

Zdemobilizowani mężczyźni z armii austriackiej wróciwszy do wsi po odetchnieniu szybko kojarzą się pary narzeczeńskie.

Rok 1919. Ja liczę 12 lat.

Po poskromieniu batalii ukraińskiej Piłsudski włącza się do sprzymierzonych sił antykomunistycznych dokonując napadu na ziemie rosyjskie, wspomagając kontrrewolucję białogwardystów. W tym napadzie dochodzi aż do Kijowa. Tam armia czerwona stawia opór i zarazem wypiera wojsko polskie z ziem Ukrainy z brawurą.

Okres zapustu r. 1919 to inwazja wesel. W szalonym tygodniu co dzień po trzy śluby i wesela. Nasz ojciec szybki traci zdrowie i siły, już więcej czasu spędza w łóżku. Ja w dalszym ciągu posługuje w kościele. W drugim półroczu występują wrzody na nogach i tułowiu wrzody otwarte, ropne. Przy tym bardzo cierpi. Z tą chwilą kiedy węgierska doktorka z Budapesztu była gościem u Niemczyckich ojciec przy poparciu Niemczyckich został zbadany przez doktorkę, która stwierdziła, że to jest nieuleczalna gruźlica płuc. Odtąd wiedzieliśmy, że nie wyzdrowieje. Pod koniec nie dał rady nawet własną mocą nóg podciągnąć, lecz trzeba mu było pomagać bardzo powoli i ostrożnie. Bardzo często więc mnie przywoływał. Matka zaś musiała często zmieniać opatrunki przemokłe ropą. Także dużo kaszlał a wyksztusiny były dużo pomieszane z krwią.

Rok 1920. Mam 13 lat.

Ojciec od wigilii Bożego Narodzenia wpada w gorączkowe majaczenia i ostatecznie zmarł w niedzielę 4-go stycznia o godzinie 1-szej w nocy. Pogrzeb odbył się 7-go stycznia przy okropnej zawiei. Ja ani brat nie byliśmy na pogrzebie. Ja zachorowałem poważnie i wyleżałem w łóżku koło półtora miesiąca. Że ciężko matce było wykonywać wszystkie obowiązki w zagrodzie w domu i przy opiece chorego ojca, przez ciotkę Katarzynę Przepiórą z potoka zjednała i przyprowadziła służącą Katarzynę Dyl rodem ze Staszkówki, z którą mieliśmy pokrewieństwo dalsze z linii jej matki nieżyjącej wówczas. Tak samo ojciec. Jej rodzeństwo to dużo starsze siostry Aniela i Anna oraz brat Wojciech też starszy. Po wyzdrowieniu z nadejście wiosny razem ze służącą a była starsza ode mnie o 2 lata, trzeba było wykonywać prace w polu, przy okopywaniu i pieleniu ziemniaków. Nadto matka ugodziła się z Niemczyckimi, że ja miałem paść dworskie bydło po ogrodach w zamian za pasienie się naszych krów przy dworskich, które pasł brat Jasiek. Po 3-ch miesiącach zerwano zawartą umowę. Przychodziły żniwa, trzeba było próbować kosić, żąć zboże. Tego lata znów stało się widmo wojny w najgorszym pojęciu. Bolszewicy wypierając wojsko polskie z Rosji, wtargnęli na ziemie polskie w szybkim tempie, zatoć łatwo i podeszli po Warszawę, zdawało się, że zabiorą całą Polskę. Jednak po bitwie o Warszawę 15 sierpnia wygranej przez Polaków, bolszewicy wycofali się na swoje ziemie i nastąpił rozejm.

Przy poparciu opiekuna naszego Jana Kazanowskiego, ja zostałem zaangażowany przez wójta Jarochę Józefa na listonosza wiejskiego z dniem 1.IX.1920r. za 700 Marek miesięcznie. Codziennie więc uczęszczałem do posług kościelnych i po pocztę do Rzepiennika z roznoszeniem po wiosce. Posług w kościele było wówczas dużo bo za wszystkimi, którzy polegli na wojnie i nie wrócili do wsi odbywały się nabożeństwa żałobne przy katafalku.

Nadto przyszła epidemia hiszpanki, która po domach kładła niemal wszystkich w tym słabsi umierali, tak że przez jesień, zimę do wiosny zmarło na hiszpankę ponad 20 osób. Myśmy w domu słabo przechodzili, że tylko dzień lub dwa trzeba było zostać w łóżku.

Przebieg mojej służby wojskowej

W roku 1928 stawałem do Wojskowej Komisji Poborowej w Bieczu. Według oceny Komisji Poborowej zostałem uznany za zdolnego do odbycia służby wojskowej czyli kategoria „A”. W tym dniu z naszej wsi zostało uznanych za zdolnych do służby nas trzech. Ja z kategorii „A”, Mieczysław Wędrychowicz z kategorii „B” i Bolesław Chyncar z kategorii „C”, czyli ja z 1-go stawienia się do poboru, M. Wędrychowicz z 2-go stawienia się i B. Chyncar z 3-go stawienia się. Wędrychowicz miał 1 rok odroczenia, B. Chyncar 2 lata odroczenia.

Do tego poboru zostaliśmy wezwani chyba w czerwcu 1928 roku. W jesieni tegoż roku Wędrychowicz i Chyncar zostali powołani do odbycia służby wojskowej. Wędrychowicz do 5 pułku Strzelców Podhalańskich w Przemyślu, zaś Chyncar do pułku ułanów gdzieś w Kongresówce (bliżej Warszawy).

Ja wezwanie do służby otrzymałem w pierwszych dniach marca 1929 roku z terminem stawienia się w 5 pułku Strzelców Podhalańskich w Przemyślu w dniu 16 marca. W tym roku była bardzo sroga zima. Bardzo dużo było śniegu i wielkie mrozy. Pamiętam, gdy szedłem do przystanku do Moszczenicy, ze Staszkiem Wroną (z gór) to były duże zasy śniegu poprzez drogę. Jezdnia prowadziła tak jakby przez przekopy. Dwa, trzy kroki w dół, dwa, trzy kroki w górę.

Gdy razem z innymi poborowymi, których spotkałem na przystanku, razem z ich kolegami a między nimi było trzech kolegów: jeden z Zagórzan Kukła i dwóch z Moszczenicy: Kuliński i Dobek, których nie znałem, aż dopiero po dwóch miesiącach zapoznaliśmy się. Gdy więc przyjechalismy linią podkarpacką przez Krosno, Sanok, Sambor do Przemyśla wcześniej rano był wtedy siarczysty mróz. Żołnierz z czynnej służby czekał na nas, a gdy nas zebrał na dworcu poprowadził do pułku przy ulicy Słowackiego około 1,5 km od stacji kolejowej. Pierwsze co się rzuciło w oczy to to, że żołnierze pełniący służbę wartowniczą na bramie i wewnątrz koszar mieli na sobie kozuchy baranie do samej ziemi i buty walonki na nogach. Drugie to, że do poruszania się w obrębie koszar były w śniegu w zaspach wąskie dróżki z wyrzuconego śniegu. Aby się dostać do pawilonu koło ściany był śnieg odwalony dalej na plac zbiórki tak, że koło ściany był pas odśnieżony o szerokości 2 metrów a poza tym pasem była hałda śniegu na przeszło 3 metry wysoko.

Nas rekrutów wprowadzono do jednej sali gdzie na podłodze była rozścielona słoma i na tej słomie pokładliśmy się. Niektórzy byli jeszcze pijani. Do południa z dojeżdżających

pociągów doprowadzano poborowych. Po południu dano nam zupy od obiadu dla ogrzania się poczem grupami prowadzono nas do fryzjera, który maszynką ścinał zostawiając tylko 1/2 cm włoski. Następnie wydano nam umundurowanie z natychmiastowym przebieraniem się. Otrzymaliśmy też worki jutowe, w które mieliśmy wsadzić całą odzież cywilną wraz z butami. Na worku należało naszyć kawałek białego płótna i na tym białym kawałku płótna kopiowym ołówkiem wypisać swój adres cywilny, następnie worek zaszyć i oddać do magazynu. Gdy się już przebrałem w mundur wojskowy przechodząc w korytarzu gdzie było zawieszone duże lustro, gdy w nim zobaczyłem siebie to się rozplakałem, bo taką karykaturę zrobiono z człowieka gdyż zafasowany mundur w ogóle nie był dopasowany tylko jak kto trafił. W następnych dniach dopiero rekruci między sobą wymieniali mundury i dopasowywali.

Wszystkich nas poprowadzono przed lekarza i przed szefów kompanijnych celem przydziałów do kompanii. Ja gdy stanąłem przed lekarza stwierdził zdolność do służby, a szef kompani ciężkich karabinów maszynowych po oglądnięciu mnie stojącego nago uderzył mnie mocno ręką w plecy i krzyknął „c k m” zaś sekretarzujący żołnierz zaraz zapisał mnie w skład kompani „c.k.m.”. Wróciwszy na salę zborną pojawił się znów kompanijny kucharz a był nim Jan z Moszczenicy zamieszkiwał w odległości 2 km, którego nie znałem i który krzyknął na sali czy jest kto z powiatu gorlickiego, odezwałem się że ja jestem. Przystąpił do mnie i wypytał z jakiej wsi, zdumiał się, że tak blisko mieszkaliśmy ale nie znaliśmy i nie kontaktowaliśmy się. On był ze starszego rocznika. Zaproponował mi żebym poszedł do kuchni mieć mięso na pączki więc miałem w maszynie do mięsa.

W między czasie z sali zbornej wyniesiono słomę, podłogę wyczyszczono i na czołowej ścianie zawieszono portret prezydenta Mościckiego oraz orzeł polski zawieszony na kocu. Na stole pod tym portretem i orłem, obok których po bokach zawieszone były szable oficerskie, ustawiono dwa karabiny maszynowe na podstawach z lufami skierowanymi na boki, nadto na środku stał kozioł stojący z karabinów ręcznych „mauzerów”.

Zdarzyło mi się wówczas, że idąc za kucharzem do kuchni zostawiłem mój kuferek z własnymi przedmiotami jak: szczotki, igły, nici, trochę chleba itp., gdy więc przygotowywano salę mój kuferek zostawiony zabrano do komenderji kompanijnej. Mało tego w międzyczasie został podział kompani rekrutów na plutony i drużyny o czym nic nie wiedziałem. Pod wieczór kucharz powiedział mi abym przerwał pracę i szedł do sali obok gdzie będzie przemawiał kapitan, dowódca kompani przy tym powitał przybyłych

poborowych. Po tym zebraniu znowu wróciłem do kuchni. A gdy skończyłem pracę w kuchni nie wiedziałem gdzie mam się udać. Wtedy kucharz wyszedł na piętro, skontaktował się z drużynowymi i dowiedział się, że zostałem włączony do III plutonu i 5-tej drużyny, powróciwszy skierował mnie do właściwej sali. Zgrupowano w tej sali dwie drużyny, każda 12-stu żołnierzy dalej jeden kapral zawodowy, d-ca 5-tej drużyny i kapral nadterminowy, d-ca 6-tej drużyny oraz d-ca III plutonu - plutonowy Józef Wala. Razem 27 żołnierzy. W kompani „c.k.m” na początku było 4 plutony, później jeszcze dodano 5-ty pluton moździerzystów.

Dowódcą kompani był kapitan Wołszregier z Poznania (Niemiec),

Zastępcą był chorąży Wojciech Chorak.

Szefem kompani był Franciszek Tumidajski - sierżant.

Dowódcą I plutonu był starszy sierżant Gołąb,

Dowódcą II plutonu był starszy sierżant Franciszek,

Dowódcą III plutonu był plutonowy Józef Wala,

Dowódcą IV plutonu był starszy sierżant Kasprzak.

Przyszedszy na salę po wytłumaczeniu mojego opóźnienia dostałem przydzielone łóżko na piętrze. Nie miałem wówczas odwagi zgłoszenia o zaginięciu mojego kuferka, najbardziej mi brakowało szczotek i „szwarcu” czernidła do butów. Szczotkę i czernidło niebawem kupiłem w kantynie.

Zima jeszcze mocno dawała się we znaki, wobec tego ćwiczone nas po salach. Najpierw zapoznano nas z organizacją pułku i kompani, podano nam do zapisania dowódcę pułku Brzezickiego, zastępcę majora i adiutanta - porucznika, następnie d-ców I, II i III kompani strzeleckich, dalej d-cę kompani „c.k.m” a także d-ców w naszej kompani. W przerwach wypędzano nas na plac zbiórki, dostawszy łopatki i łomy kruszyliśmy zlodowaciały śnieg i przerzucaliśmy przez siatkę do hrabiowskiego ogrodu, poczem z powrotem na korytarz uczono nas oddawania honorów. Przy tym wszystkim było wiele biegania tam i z powrotem a nawet „padnij”.

W trzecim dniu służby otrzymaliśmy pierwsze karabiny produkcji polskiej „Mauzer 07”. Gdy już mieliśmy karabiny zaczęto nas uczyć musztry karabinami: „na ramię broń, do nogi broń, baczność, spocznij, na prawo, na lewo patrz! Na pas broń!”. Równocześnie na polu ćwiczeń uczono nas chodzenia ćwiczebnym krokiem w ten sposób, że karabin z tyłu kładziono na poziomo prawą ręką, zgiętym łokciem objęto kolbę zaś lewym zgiętym

łokciem ujęto lufę karabinu. W takim ułożeniu kazano chodzić całej drużynie w koło. Poza ćwiczeniami w przerwach oraz wolniejszych chwilach otrzymywaliśmy rozkaz śpiewania.

Po kilku dniach gdy moja drużyna miała dyżur czystości ja otrzymałem rozkaz zrobienia porządków w kancelarii kompanijnej, gdy się tam udałem, spoglądam a tam w koncie jest mój kufer. Mając przy sobie kluczyk odemknąłem – wszystka zawartość w kuferku się znalazła z tym, że bułka była zaśniedzała i kwitnąca do wyrzucenia. W tym czasie dużo kłopotu sprawiało ślanie łóżek stale nam je burzono gdyśmy byli na ćwiczeniach. Ja też miałem kłopoty, gdyż miałem utrudzony dostęp usłać je na pięterku, byłem zmuszony stawać na ramach łóżka żelaznego, dolnego, stąd miałem zatargi z kolegą z dołu ale jakoś sobie dawałem radę i lepiej je słałem, zauważył to drużynowy, zmienił mi łóżko – zamiast na piętrze dostałem łóżko koło okna niepiętrowe a ten który je zajmował musiał zająć moje łóżko na pięterku.

Cały ten czas pierwszych tygodni tak był zajęty bieganiem, ćwiczeniami, musztrami, że nie było chwili wolnej żeby się odezwać do kolegi. Ja miałem na sali kolegę z Zagórzan to dopiero po 3 miesiącach myśmy się dogadali.

Pierwsze święta Wielkanocne nawet jaszcz do kościoła nie poprowadzono. W czasie świąt było bardzo zimno i deszczowo, przykro i smutno było. Całą nowością było to, że w Wielką Sobotę późno w nocy przybył do specjalnie przygotowanej sali ksiądz kapelan w randze majora wraz z dowódcami pułku i kompanijnych w asyście. Na roztawionych stołach między ławami nakrytymi białymi prześcieradłami założone zostały stoły artykułami spożywczymi jak: jajka gotowane, szynka, kielbasa, bułki, kawa biała, musztarda, chrzan, barszcz czerwony z kielbasą. Te artykuły rozłożone ksiądz kapelan pomodliwszy się poświęcił poczem wszyscy przystąpiliśmy do spożywania a przybyła orkiestra pułkowa przygrywała nam. Na końcu zaintonowano nam do śpiewania „Wesoły nam dziś dzień nastał”. Życzono nam wesołych świąt i na tym zakończono.

W Wielką Niedzielę nie wiele nam dano spokoju. Gorzej było popołudniem gdy kaprale gdzieś skrycie popili wódki a było ich tylko 4-ch, inni pojechali do rodzin za przepustką lub w urlopie. Ja wlaższy pod łóżko zastawiłem się kuferkami i tam pisałem pierwszy list z wojska do domu a przy tym popłakałem sobie. Trzeba wiedzieć i to, że w pierwszych tygodniach nawet żadnych wspomnień nie było, sam się temu dziwiłem. Gdy ja pisałem list pod łóżkiem kapral komendant sali pijany pastwił się nad chłopakami, ganiał po sali po korytarzach, stale zbiórka, biegiem marsz, padnij, czołgaj się itp. Tyle mi się udało, że mnie nikt nie szukał ani znalazł, tyle zaznałem spokoju.

Wreszcie po paru tygodniach przeprowadzono z nami próbne ostre strzelanie z ręcznych karabinów do punktów oddalonych 25 centymetrów, oddając 5 strzałów w skupieniu do 5-ciucentymetrów. To strzelanie dobrze mi wyszło.

Porządek dnia mieliśmy przeważnie jednakowy codziennie. Pobudka rano o 6-tej. W lecie na poligonie i ostrym strzelaniu o 5-tej i 4-tej. Gimnastyka o 6.10, ślanie łóżek 6.20. Modlitwa 6.30. Śniadanie: chleb i kawa czarna 6.35. Czyszczenie i przygotowywanie się do zbiórki na ćwiczenia. Zbiórka na placu przed blokiem koszarowym o 7-mej. Po sprawdzeniu stanu i raporcie wymarsz na plac ćwiczeń ze sprzętem szkoleniowym. W niedzielę i święta pobudka o godzinie 7-mej, o godz. 9-tej wymarsz z orkiestrą do kościoła garnizonowego.

Po miesiącu ćwiczeń z karabinami ręcznymi wydano nam na drużynę (12 osób) karabin maszynowy „Mauzer 07” do ćwiczeń składający się z metalowej podstawy na dwu kółkach oraz właściwego karabinu, sam karabin bez wody wżył 6 kg a podstawa 23 kg.

Przysięgę mieliśmy po 3-ch miesiącach służby w czerwcu na placu alarmowym w 38 pułku Strzelców Lwowskich. Przysięgę podawał i odbierał ksiądz kapelan NN major.

Według planu codziennie dojście na plac ćwiczeń, na „Wzniesienie” odległość ok. 1,5 km, stromą bitą drogą w górę serpentynami. W drodze przymusowy śpiew na przemian z biegami w kółko, albo „lotnik, kryj się” lub „kawaleria z prawa czy z lewa”.

Po dojściu na plac ćwiczeń czasem gimnastyka w ubraniu do pasa zaś czasem przerwa na papierosa 10 minut. Podczas przerwy dowódca gwizdkiem zwoływał podoficerów daleko na boku na odprawę, tam dawał polecenia jaki program i jaki rodzaj ćwiczeń winni przeprowadzić. Zazwyczaj dzielił kompanię na dwie grupy. Jedna połowa prowadziła ćwiczenia polowe w natarciu lub w obronie, podchodzenie, przejmujące tereny itp. Druga zaś połowa kompani w drużynach prowadziła w miejscu ćwiczenia w celowaniu, oddawanie strzałów ślepakami, rozbieranie na części bagnety, karabin ręczny, karabin maszynowy oraz składanie tychże, rozbieranie i składanie na czas a także rozbieranie na części i składanie z zawiązanymi oczyma.

Około godziny 10-tej przerwa poczem zmiana połówek kompani tj. druga połowa kompani idzie do ćwiczeń polowych zaś pierwsza połowa do szkolenia strzeleckiego i sprawnościowego.

Południem powrót do koszar, rozstawa stołów i czyszczenie broni aż do przeglądu poczem nasmarowanie towotem i zawieszenie na wyznaczonym haku na korytarzu. Nierzadko po powrocie z ćwiczeń zastawialiśmy na salach do spania zwywracaną pościel na

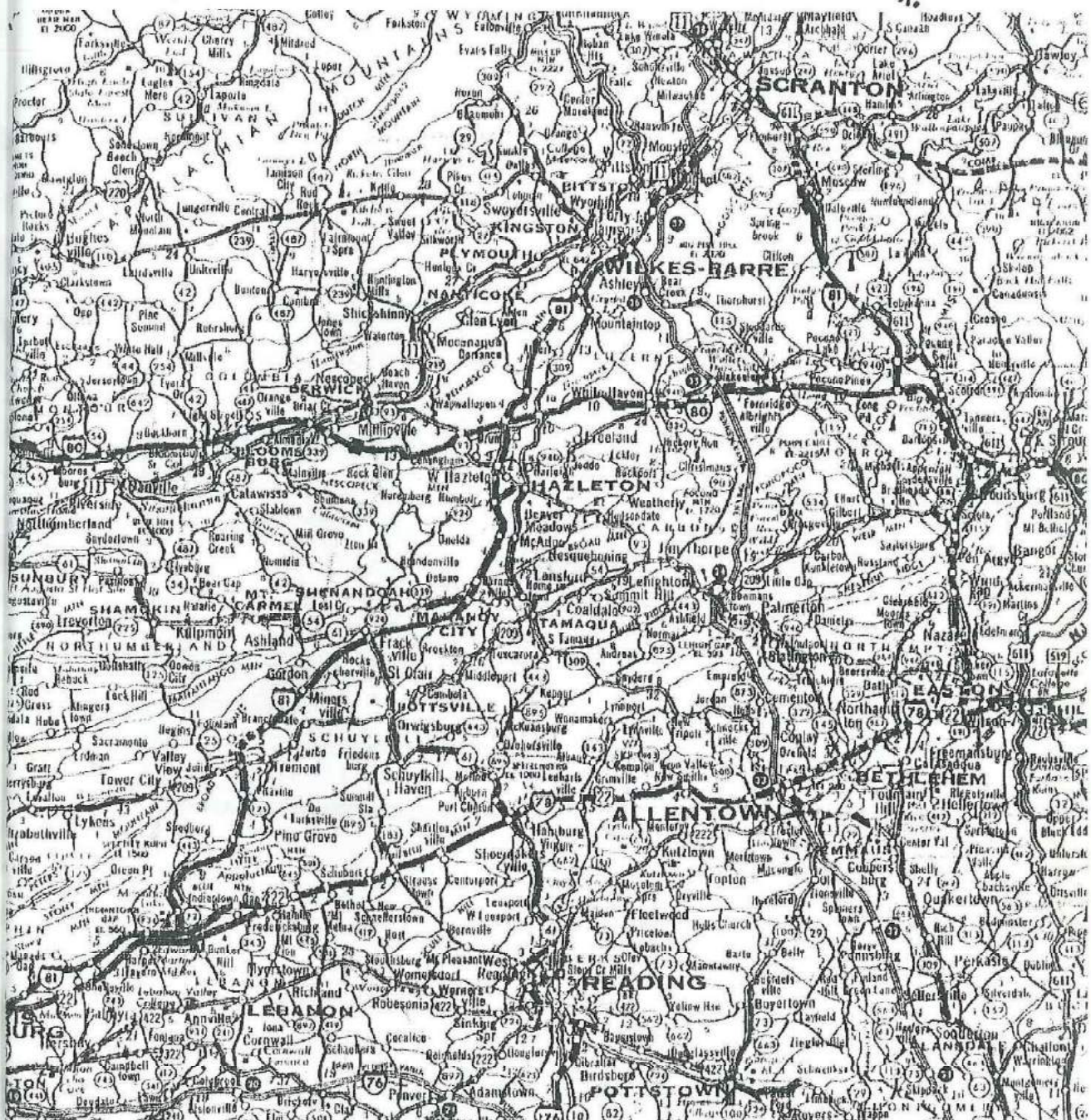
łózkach też sienniki, ogólny bałagan, który należało przyprowadzić do porządku i stanu idealnego. Akcja taka nazywana była „lotnik na sali”. Po uporaniu się z tym trzeba było szybko mundur na sobie uporządkować, oczyścić a zwłaszcza buty oczyścić, osuszyć, uszwarcować, wyglancować, uzupełnić gwoździe w podeszwach do pełnego stanu 32 sztuk pod butem. Przed 13-stą godziną obiad winien być spożyty, po który w zbiorce należało iść pod kuchnię z menażkami. Obiad składał się z zupy oraz kasza lub ziemniaki, sos i porcja mięsa wołowego a w niedzielę sznycel. Pobrany obiad przynosiło się na salę i wydobywszy kuferek z pod łóżka siadało się na nim i zjadano, poczem szybko trzeba było biec pod studnię by tam obmyć menażki a po obtarciu ręcznikiem postawić na półce nad łóżkiem.

Po tych czynnościach była chwila wolniejsza podczas której można było wyskoczyć do kantyny celem zakupu szwarcu (czernidła do butów), nici, igły, papierosów, papier listowy, zeszyt, guziki, gwoździe itp.

Jeszcze poprawić glanc u butów, czy przyszyć guzik, załatać dziurę w mundurze czy rynsztunku. Te czynności przerywał gwizdek wzywający do zbiórki i wymarszu na popołudniowe ćwiczenia od godz. 15-tej do 17-tej. W tych ćwiczeniach była szermierka, rzucanie granatów, musztra zwrotów: stój, biegiem, zbiórka w szeregu, w dwuszeregu, padnij, lotnik, kawaleria, z maskami gazowymi inne, wreszcie powrót do koszar ze śpiewem. Czyszczenie znów broni, czyszczenie munduru i butów i przygotowanie się do zbiórki i do rozkazu. Rozkaz! Po rozkazie czas na kolację. Mogła być kawa, zupa ziemniaczana. Po kolacji mycie nóg, golenie brody, strzyżenie się, uczenie się w miarę potrzeb. O 20.30 zbiórka na modlitwę, rozesłanie łóżek, rozebranie się, zdjęty mundur złożenie w kostkę na nim pas z bagnetem i czapkę złożone wszystko na ławie, buty pod ławą i wreszcie ułożenie się w łóżku.

Opis zdjęć:

1. Fragment mapy Stanów Zjednoczonych, stanu Pensylwania, z zaznaczonym miejscem urodzenia Władysława i Jana Mruków
2. Ksero dowodu osobistego Władysława Mruka
3. Od lewej siedzą Julia i Antoni Zygałowie, Ludwika Mruk (macocha Władysława i Jana), poniżej od lewej Amelia i Władysław Mrukowie, siostra Amelii - Maria (Markowska) i brat Fryderyk. Zdjęcie zrobiono po weselu Amelii i Władysława Mruków.
4. Od lewej stoją Antoni Włodarski, Władysław Mruk, siostra Wiktorii Zygałto (żony Józefa), bracia: Fryderyk, Jan i Józef Zygałowie. Od lewej siedzą: Apolonia Włodarska z córką Julią, Julia i Antoni Zygałowie z wnuczką Marią (córką Józefa i Wiktorii), oraz Wiktoria - żona Józefa Zygałto z córką Jreną. Zdjęcie zrobiono po chrzcie Jreny Zygałto.
5. Rodzina Amelii i Władysława Mruków przed domem, od lewej: Wanda, Amelia, Roman, Władysław i Jrena (ujęcie od południowo zachodniej strony).
6. Przed domem od lewej: Roman, Amelia i Władysław oraz Wanda Mrukowie, poniżej wnukowie: Janusz i Bogdan Szymańscy (widok od strony północnej).
7. Bracia Władysław i Jan Mrukowie.
8. Jan Mruk z żoną Ludwiką z domu Odrzywołek.
9. Drzewa genealogiczne rodziny Mruków i rodziny Kuzneckich.



2.

DOWÓD OSOBISTY	
Mruk	
1. Nazwisko	Władysław Gawel
2. Imię	
3. Nazwisko panieńskie	
	RYSOPIS wysoki ciemnoniebieskie oczy nie ma znamion szczególnych RP NFI
	Władysław Mruk Władysławski podpis ZN 3214352
4. Nazwa rodziny	Goźel Katarzyna
5. Data urodzenia	15 stycznia 1907 r.
6. Miejsce urodzenia: miejscowość, powiat	Makonow - USA
7. Stan cywilny	żonaty
8. Zawód	rolnik
9. Organ wydający dowód osobisty	HMW Gorlice
07041501794  Komendant MO	
4 września 1966 r. Data wydania ZN 3214352	

3.





POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Rzeczpospolita Polskiej Socjalistycznej

URZĄD STANU CYWILNEGO w

Województwo

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARŁEJ:

1. Nazwisko Włodzisław Pasol
2. Imię (imiona) Włodzisław
3. Nazwisko rodowe Pasol
4. Stan cywilny żonaty
5. Data urodzenia 15 stycznia 1907 r.
6. Miejsce urodzenia Żurawów - IIIA
7. Ostatnie miejsce zamieszkania Żurawów

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:

1. Data 15 stycznia 1970 r.
2. Miejsce Żurawów

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKI OSOBY ZMARŁEJ:

1. Nazwisko
2. Imię (imiona)
3. Nazwisko rodowe

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARŁEJ:

- | Ojciec | Matka |
|------------------------------|------------------------------|
| Imię (imiona) <u>Jan</u> | Imię (imiona) <u>Janina</u> |
| Nazwisko rodowe <u>Pasol</u> | Nazwisko rodowe <u>Pasol</u> |

Miejsce na opisy
skrótów

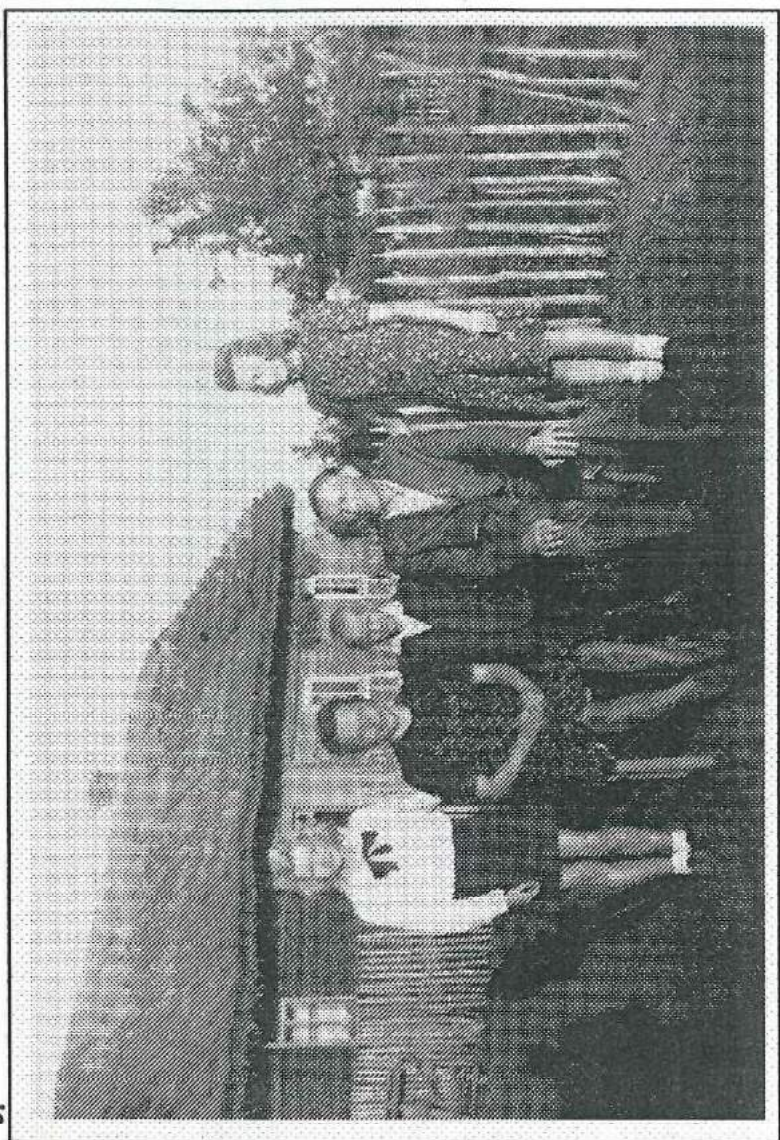
Poswiadcza się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr 157.01.70, data 15.01.70

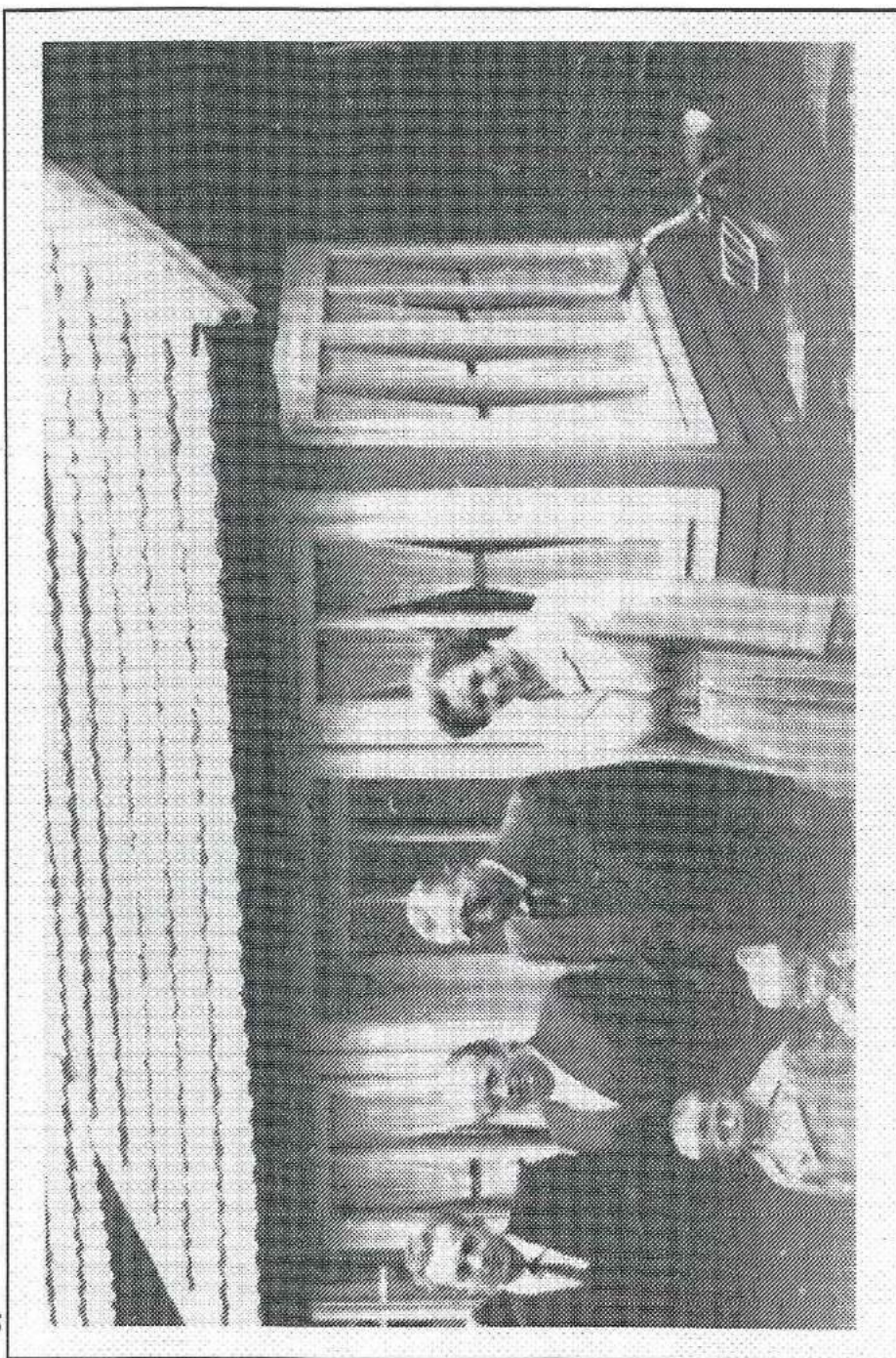


KIEROWNIK
Urzędu Stanu Cywilnego
Emilia Szlachetka



4.









8.

